I Miejskiej wypożyczalni książek dla dorosłych
w S. XII 1949 r.

I Miejskiej wypożyczalni ka... dla dorosłych
4-12- 1949 r.

W numerze m. in.:

L. BUDRECKI
St. WYGODZKI
R. MATUSZEWSKI
L. WOJTYGA
J. PAPUGA
J. SIEKIERSKA
A. KRUCZKOWSKI

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 4 grudnia 1949 r. | Nr 48 (220) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

...Klasy obumierające stawiają opór nie dlatego, że stały się silniejsze niż my, lecz dlatego, że socjalizm rośnie szybciej niż one i one stają się słabsze niż my.

STALIN

ALEKSANDER JACKIEWICZ

ZAGADNIENIA TWÓRCZOŚCI FILMOWEJ NA ZJEŹDZIE W WIŚLE

ODRODZENIE twórczości filmowej w Polsce powojennej było uzależnione nie tylko od szybkiej odbudowy technicznych urządzeń produkcji, od sprawnej organizacji zespołów realizatorskich, lecz, i to przede wszystkim od przezwyciężenia niesławnej tradycji twórczości przedwojennej. Należało ją przezwyciężyć nie tylko w ludziach filmu, ale i w ludziach literatury, którzy przystąpili do współpracy z filmem.

Jak się przedstawiała kinematografia polska do roku 1939? Pomijając czysto techniczną nieudolność naszych przedwojennych realizatorów, którzy w wielu wypadkach nie przeszli dostatecznego przeszkolenia zawodowego, film polski zupełnie świadomie starał się w swych założeniach tematycznych pozostawać na peryferiach istotnych nurtów społecznych. Schlebiając gustom mieszczańskim, filmowcy produkowali obrazy przeważnie pozbawione jakichkolwiek walorów artystycznych, szukali sensacji, pseudonastroju, dziwności, trywializując najczęściej wątek erotyczny we wszystkich jego odmianach. Wśród postaci filmowych nie było charakterów, nie było człowieka nawet w jego cząstkowej prawdzie. Na ekranie ukazywano nam bohaterów nijakich, słodkich jak na pudełkach z czekoladkami lub złych jak w nieudolnie wymyślonych bajkach.

Dom Zdrojowy w Wiśle, gdzie odbywał się Zjazd Filmowy

Dyr. Stanisław Albrecht charakteryzując na Zjeździe w Wiśle przedwojenną kinematografię polską, jej tradycje i powiązania oraz sytuację wyjściową polskiej kinematografii powojennej, powiedział: „Film zrodził się w okresie schyłkowego kapitalizmu i kształtowały go, jako sztukę, kierunki wówczas istniejące, które przejawiały schyłkowe, reakcyjne formy burżuazyjne. Film w zasadzie od początku istnienia obrazuje te formy i to w sposób jeszcze bardziej jaskrawy niż literatura, muzyka, malarstwo, gdyż jako sztuka nowa pozbawiony był jakichkolwiek postępowych tradycji. Inne dziedziny sztuki, w różnych okresach historycznych miały swe wzloty i upadki, reprezentowały na zmianę i postęp i wstecznictwo. Film, z natury swej, związany z kosztownym procesem produkcyjnym, a więc zależny od kapitału tym silniej obrazował i dalej w krajach kapitalistycznych obrazuje tę ideologię w jakiej powstał i jakiej musiał służyć.

Produkcja filmowa, która już przed wojną w krajach kapitalistycznych opanowana była przez wielki kapitał, w Polsce stanowiła żerowisko kapitału, szczególnie niestałego, anonimowego, spekulanckiego. Pozbawiona jakiegokolwiek rozmachu i perspektywy rozwojowej, pozbawiona ambicji, przykrojona była do najniższych gustów mieszczańskich. Pozbawiona wszelkich tradycji artystycznych, niemal zupełnie nie posiadająca postępowego dorobku, poza wyjątkami, jak np. „Droga młodych" Aleksandra Forda, stanęła po wojnie dosłownie na początku drogi."

Twórcy filmowi przystępujący po wojnie do budowy naszej kinematografii, należeli, na szczęście, właśnie do tych nielicznych realizatorów, którzy albo w ciężkiej walce z monopolem kapitalistów starali się tworzyć obrazy wartościowe artystycznie, o postępowej wymowie ideologicznej, albo znów niedopuszczeni do tworzenia pozostawali na peryferiach tzw. branży.

Mimo to i na wielu z nich, na tych najlepszych, na tych najbardziej wartościowych, zła przeszłość całej gałęzi sztuki wycisnęła swój ślad. U kogo mieli się uczyć młodzi realizatorzy? U starszych? A czego mogli ich nauczyć starsi? Nie bez powodu wspomniałem również na początku o pisarzach. Nie będę się rozwodził nad stanem literatury międzywojennej. Oczywiście był on lepszy niż w dziedzinie filmu, choćby tylko dlatego, że twórczość literacka nie była tak ściśle jak kinematografia uzależniona od kapitalistycznego spekulanctwa. Ale charakter prozy, prozy psychologistycznej, aformicznej, prozy o rozwodnionej fabule, o zatartym rysunku postaci, ciąży i dziś jeszcze na naszych pisarzach. A pisarz przecież ma tworzyć scenariusze dla nowych filmów, scenariusze dla filmów realistycznych, w których fabuła, bohaterowie, opisywane środowisko mają być wykładnikami nowej rzeczywistości. Zagadnieniu temu na Zjeździe poświęcono szczególnie dużo troski i uwagi. Wszystkie wypowiedzi zgodnie stwierdzały, iż nie nastąpił jeszcze całkowity przełom w ideologicznej świadomości pisarzy polskich. „Wtedy będziemy mieli dobre scenariusze i dobre filmy, kiedy pisarze osiągną całkowitą dojrzałość ideologiczną" — brzmiał wniosek Jerzego Andrzejewskiego, autora scenariusza filmu „Robinson Warszawski". Krytyka dotychczasowych powojennych filmów polskich przeprowadzona na Zjeździe wykazała, iż błędy ich, były przede wszystkim błędami ideologicznymi scenariusza.

Nic dziwnego, że wszystkie te trudności nie pozwoliły w pierwszych latach powojennych na osiągnięcie równego poziomu twórczości filmowej. Pośród dwunastu wyprodukowanych dotychczas filmów pełnometrażowych („Zakazane Piosenki", „Dwie Godziny", „Stalowe Serca" „Ulica Graniczna", „Jasne Łany", „Ostatni Etap", „Powrót", „Skarb", „Za wami pójdą inni", „Dom na pustkowiu", „Robinson Warszawski", „Czarci żleb") mamy dzieła stojące na wysokim poziomie artystycznym, posiadające wyraźną humanistyczną wymowę ideologiczną, np. „Ostatni Etap", „Ulica Graniczna" oraz filmy zupełnie błahe lub też nieudane, o błędach wynikłych z mylnych założeń ideologicznych.

„Dom na pustkowiu". Scenariusz: J. Iwaszkiewicz Reżyseria: J. Rybkowski

„Szeroka droga". Scenariusz: R. Praga, B. Wiernik. Reżyseria: K. Gordon

Filmy takie, jak „Ostani Etap" czy „Ulica Graniczna" powstałe z przeżyć okupacyjnych twórców — niosły w sobie silny ładunek autentyczności, wymowę dokumentu, a pod względem tematyki ogarniały tereny nieznane kinematografii przedwojennej. Lecz, gdy przyszło realizować utwory zrodzone tematycznie w rzeczywistości powojennej, gdzie przemiany naszego kraju są wtopione w rytmiczny nurt dnia codziennego, tam odezwały się stare grzechy, stępiła się czujność twórców, zaczęto posługiwać się rutyną.

Zjazd w Wiśle był właśnie zreasumowaniem dotychczasowych osiągnięć naszej kinematografii powojennej oraz wytyczeniem jej dalszej perspektywy rozwojowej.

Zarówno w referatach wygłoszonych na Zjeździe jak i w dyskusji nad tezami w nich zawartymi, jak wreszcie w dyskusjach nad najnowszymi filmami polskimi wyświetlonymi w czasie Zjazdu — wyraźnie zaznaczono, że kinematografia nasza znajduje się u progu nowego etapu swego powojennego rozwoju. W tej drugiej fazie w jaką wejdziemy, nie wystarczy już walka przeciwko złej tradycji, lecz rozpocznie się nowy trud formowania filmu opartego na konkretnych, ideologicznych i artystycznych zasadach socjalistycznego realizmu.

W gorącym przemówieniu na zakończenie Zjazdu Jerzy Albrecht mówił o zadaniach stojących przed filmem polskim.

Zadaniem tym jest realizm a „realizm — to oparcie się o naszą rzeczywistość, to pokazywanie bez zakłamania, jasno i wyraźnie, to umiejętność demaskowania wroga, to budzenie czujności klasy robotniczej, to mobilizacja do walki. Musimy umieć pokazać co warte kochania i umieć pokazać kogo nienawidzieć, umieć pokazać z kim trzeba walczyć".

W filmach, które na Zjeździe zademonstrowano, tylko w wypadku jednego dzieła można mówić o przenikaniu przedwojennego melodramatu do nowej twórczości; film ten nosi tytuł „Powrót". Pozaczasowa tragedia człowieka, tragedia nieprawdziwa bo niezwiązana z realną rzeczywistością pozbawia ten film wartości. Mechaniczne połączenie wspomnieniowego wątku z obrazem odbudowy Warszawy rozbija ideową i artystyczną kompozycję. Dzieło jest całkowicie chybione.

„Czarci żleb". Scenariusz: T. Kański. Reżyseria: T. Kański i A. Vergano

Inne filmy w sposób mniej lub więcej szczęśliwy realizują tematykę okupacyjną i współczesną; widać w nich ślady trudnej drogi jaką odbywają twórcy, zdobywając nowe pozycje ideowe i artystyczne.

Jak już było powiedziane, podstawą nowego filmu polskiego musi stać się scenariusz, scenariusz — jako pełnowartościowe dzieło artystyczne. Jego błędy stały się powodem błędów realizowanych filmów. Od scenarzysty zależy uchwycenie już w samym temacie istoty życia współczesnego, od niego też zależy aby to życie w dziele nabrało kolorów, aby znalazło odbicie w bohaterze, który ma uosabiać najgłębsze wartości naszych czasów. Nowy typ człowieka, w konkretnej sytuacji społecznej — to było wołanie skierowane pod adresem pisarzy. Scenariusz stawia przed nimi zadanie odbudowania zagubionej przed wojną fabuły, akcji, umiejętności realistycznego spojrzenia na świat. Jeśli chodzi o realizatorów — a więc o reżyserów, operatorów, dekoratorów — to ich znów zadaniem będzie rozbudowa motywów zarysowanych w scenariuszu, rozbudowa polegająca na równie świadomym, społecznym, realistycznym ukazaniu prawdy o naszym życiu. Realizator powinien swoją pracę traktować jako służbę narodowi na jego nowej drodze. Realizatorzy, zarówno ci, którzy pracują w produkcji, jak i nowi uczący się zawodu w Wyższej Szkole Filmowej, powinni zerwać z artystowstwem, z kultem dziwności, smaczków, nieszczerym liryzmem, lub prymitywną nastrojowością, które to elementy przenikają nie tylko do filmów ale i do szkolnych prób najmłodszych twórców. Wreszcie widownia. Tysiące ludzi przepełniających co wieczór kina w całym kraju pragną ujrzeć na ekranie prawdę swego dnia powszedniego, prawdę rodzącego się czasu. Ale widownia karmiona od lat melodramatem, nie zawsze potrafi wyczuć fałsz w oglądanym dziele.

Z tego powodu pod adresem krytyki filmowej padło szereg ostrych zarzutów. Nasi krytycy nie są dostatecznie czujni, nie spełniają należycie roli wychowawcy widowni. Recenzje są pisane często przez przygodnych dziennikarzy, którzy nie uświadamiają sobie dostatecznie zadań filmu w nowej rzeczywistości. A zadania filmu — sztuki o największym zasięgu społecznym — muszą być wyraźnie postawione. Dokonał tego Zjazd w Wiśle dzięki szczerej dyskusji i krytyce, otwierając nowy etap, etap świadomej walki o realizm socjalistyczny w sztuce filmowej. „Trzeba walczyć o ideologiczną postawę naszego filmu — powiedział w podsumowaniu dyskusji minister Sokorski. — Wrogie nam są dzieła sztuki imperialistycznej. Ale trzeba umieć na ich postawę odpowiedzieć własną postawą ideologiczną — do końca".

Aleksander Jackiewicz

„Robinson Warszawski". Scenariusz: J. Zarzycki, J. Andrzejewski. Reżyseria: J. Zarzycki

ANNA KAMIEŃSKA

WIEC ROBOTNICZY W SPRAWIE POKOJU

Synku! Małą twoją kołyskę wyniesiono na wiec.
O twoją główkę rozbijają się ciężkie okrzyki.
O twoje życie, o twoje szczęście walczą politycy.
Niosą cię, maleńkiego, przez hale fabryk i wsie.

Podnoszą cię nad klepiska, nad wody pełne ryb,
Podają cię, bezradnego, z rąk żylastych do rąk.
Abyś żył, abyś trwał, abyś rósł rozumem czującym.
Abyś w bezpieczne dni wiódł starość matki i ojca.

Cóż zostaje jej, matce — wylękłej, śledzącej oczyma,
Gdzie dziecko jej uniosą historii fale?
Modlić się do rąk polityków, do dłoni robotników,
Błagać ręce oparte o pługi, ręce koleżeńskie od pióra.

Bierzcie łagodnie, bierzcie, nieście dziecko me w przyszłość swoją,
Otwierajcie jego oczy czyste na blask rozumu,
Rozwiązujcie jego język niemy dla słusznej mowy,
Kochajcie go cieplem ziarna, płócien, stali...

Niech imię wojny, która żywi się nieszczęściem matek
Zniknie na wasze groźne: precz!
Synku! nie bój się, nie bój!
Niosą cię na robotniczy wiec.

LECH BUDRECKI

W obronie ziemiaństwa

I.

„Soból i panna" mógł zapewne zdziwić mało wytrawnego czytelnika, mógł wprowadzić w błąd i narzucić mu popularne sugestie licznych krytyków, jakże fałszywe, o „różnorodności", „rozległości" problematyki autora „Sprawy Dołęgi". Argumenty były przecież pod ręką, zaskakiwały pozorną oczywistością. „Mamy rok 1911 — mówiono. Ukazują się „Hetmani", powieść pontyczna, a zaraz potem „Soból i panna" — utwór będący pochwałą przyrody". Rozumowanie takie, mimo pozorów słuszności, opiera się jednak na dowolnie przyjętym, wadliwym założeniu. „Soból i panna" bowiem jest także powieścią „polityczną" i to reprezentującą ideologię, której po autorze „Hetmanów" należało się właśnie spodziewać. Pióro tworzące pamflet na rewolucję 1905 roku i pióro kreślące sielankowe sceny z życia średniego ziemiaństwa były do siebie bliźniaczo podobne.

Drugi okres twórczości Weyssenhofa rozpoczęty ostatnią częścią „Narodzin działacza" — „W ogniu" przebiegał przecież konsekwentnie. Nie znajdziemy w nim niespodzianek. Natrafimy natomiast na coraz dalej idące związki z Narodową Demokracją. Patronat Romana Dmowskiego będzie od roku 1906, jeśli chodzi o twórczość autora „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego", przybierał na sile.

Dziwne uczucia ogarniają krytyka, gdy czyta zapewnienia Emila Skiwskiego w artykule „Obiad w Ustroniu trwa" („Wiadomości literackie" r. 1932), że Józef Weyssenhof był pisarzem odizolowanym, „samotnym", w epoce swej najżywszej działalności literackiej. Wprawdzie z problematyką „modernizmu" twórca „Sobola i panny" niewiele miał wspólnego, wprawdzie nie znajdziemy niemal żadnych koligacji pomiędzy jego dziełami a dramaturgią J. A. Kisielewskiego czy Wyspiańskiego, powieściopisarstwem Berenta czy też Przybyszewskiego, ale na pisarzach tych nie kończyła się przecież literatura polska lat 1900—1914. Zostawał przecież Sienkiewicz piszący „Legiony", „Na polu chwały" i „Wiry", zostawała mało ceniona przez krytyków, ale za to zyskująca coraz większą popularność wśród odbiorców, Maria Rodziewiczówna. I w tym właśnie nurcie prozy polskiej broniącej interesów ziemiaństwa, szukać należy tradycji, z której wyrosła „Unia", „Hetmani",-„Soból i panna", z której wywodził się jako jeden z podstawowych konfliktów „Powrót syna marnotrawnego" — szlachcica spłukanego solidnie w Monte Carlo, ku ziemi tj. ku dziedzicznym folwarkom, ku „pracy społecznej" i ku polowaniom. Ale owe literackie powiązania Weyssenhofa w mniejszym stopniu posłużyć nam mogą jako klucz do „Sobola i panny" niżeli wyraźne wpływy małej książeczki wydanej w r. 1903, a noszącej obiecujący tytuł „Myśli nowoczesnego Polaka". Autorem jej był Roman Dmowski, przywódca obozu wszechpolskiego.

Dzieje bowiem obfitych polowań, kult natury, przyrody, rejonów wolnych od cywilizacji „wielkich miast", a później koncepcja „unii", nie tej, o której mowa w powieści J. Weyssenhofa, noszącej taki właśnie tytuł, lecz innej, wykładanej po raz pierwszy w „Sobolu i pannie', a rozwiniętej i wykończonej w „Gromadzie", noszą w znacznym stopniu ślady programu, jaki wypisała sobie Narodowa Demokracja. A rok 1911 stanowi przecież datę przełomową w twórczości Weyssenhofa. „Hetmani" to pierwszy krok ku „obwiepolakom". Następny przypadnie na r. 1921. Wówczas to bowiem pisząc „Cudno i ziemię cudeńską" Weyssenhof będzie bronił konkretnych interesów realnie istniejącej partii politycznej, tej oczywiście, dla której wyrocznią był ów wspomniany już przeze mnie, dawny publicysta z „Głosu" — Roman Dmowski. Ale zatrzymajmy się w połowie, przebytej od 1906 roku przez autora „Sobola i panny", ewolucji ideologicznej. Oto mamy przed sobą powieść, w której krytycy widzieli nieomalże „poemat prozą", nieomalże jakąś odmianę panteizmu, a która okazuje się w rezultacie apologią ziemiaństwa i bardzo przezornym, w ramach interesów polskiej burżuazji obszarniczej, wezwaniem do sojuszu szlachcica z chłopem, czytaj szlachcica z kułakiem.

II.

Znaczną część „Sobola i panny" wypełniają opisy krajobrazów wiejskich. Nieuważni czytelnicy opuszczają zazwyczaj podobne fragmenty powieści. Gdyby jednak postąpili tak i przy lekturze „Sobola i panny", na pewno nie zrozumieliby w całości specjalnej ideologii tego „poematu prozą", nie zrozumieliby narastającego w książce i przybierającego pokaźne rozmiary antyurbanizmu, który skądinąd nie był w dziełach Weyssenhofa jakąś nowością. Przeciwnie, możemy dojrzeć w nim jedną z najbardziej konsekwentnie rozwijanych tez stanowiska ideologicznego twórcy „Sprawy Dołęgi". Co prawda owa niechęć do wielkich miast nie wystąpi od razu, w pierwszych utworach tego pisarza, ale odnajdujemy ją już wyraźnie w „Synu marnotrawnym" (1904 r.) Przybierze ona jednak nieco inny kształt właśnie w latach 1911—1921, stając się programowym uzasadnieniem każdej prawie z wydawanych wówczas książek Weyssenhofa. Antyurbanizm jednak to nazwa nazbyt szeroka dla wyjaśnienia tendencji pojawiających się na gruncie „Sobola i panny". Antyurbanizm przecież to jedno z najbardziej popularnych haseł twórców Młodej Polski. Wykryjemy je w „Próchnie" i w „Oziminie", w „Ziemi obiecanej" i w „Chłopach". Ale rozwiązanie problemu rozwoju cywilizacji za każdym razem przybierze nieco inne kształty. Upiorne, wielkie miasto niemieckie w „Próchnie" staje się reprezentantem systemu społecznego, który niweczy siły ludzi, wypacza ich moralność, pozbawia „wartości wewnętrznych". Berent jednak nie przeciwstawił ponuremu pejzażowi, okrutnemu układowi stosunków socjalnych, w których żyją Jelsky, Borowski i von Hertenstein niczego. Raju, do którego dałoby się uciec, w „Próchnie" nie ma. Raj taki zna natomiast Weyssenhof. Czytając „Sobola i pannę" poruszamy się właśnie na jego terenie. Raj ten to puszcza litewska, polowania i szlacheckie folwarki.

W dwa lata później w następnej swej powieści, w „Gromadzie", mówił Weyssenhof już wyraźnie: „Wszystko co ludzie urządzili rzekomo dla dobra ogółu, od tronów do przytułków nocnych — tchnie obłudą haseł i prawdą żądzy człowieczej — wszędzie stary Grzech triumfalny i na czele zabiegów ludzkich pojedynczych i zbiorowych. To w mieście. Ale na wsi są jeszcze wielkie pola, niewinne dworki-chaty, których gad jadem swym nie oślinił". Cywilizacja miejska została więc potępiona, uznana za niemoralną, za niezgodną z normami etyki. Ale czy tę postawę pisarza możemy rozciągnąć na lata wcześniejsze, na lata narodzin „Sobola i panny"? Z całą pewnością tak. Rozejrzyjmy się tylko w opisach, o których wspominałem uprzednio. Wszystkie one sławić będą urodę wsi, jej niezwykłe walory estetyczne. A stąd krok tylko dzieli od przeciwstawienia jej „brzydocie" fabryk, hałasowi wielkich ulic i brudnym zaułkom, od zbudowania antytezy miasto—wieś. Krok ten Weyssenhof uczynił. „Obecnie pysznił się gaj cały jeszcze męską urodą. Lakierowane, ciemne liście leżały ciężką masą nad niewidzialnymi prawie pniami, nad wilgotnym mrokiem podcieni, linia wierzchołków zalewała falistym kirem srebrną siność nieba. Niebo wybladłe było, jak twarz kobieca zatęskniona, mniej zmysłowa, obiecująca rozkosz na później". Gdzie indziej znowu czytamy: „Zorza przechodnia, pełna jeszcze słońca, rozzłocona na jednej połowie nieba, od drugiej już ścigana przez opalową, fioletem nasiąkającą bladość, dawała rozpoznać, że sztywne olchy, wiotkie brzozy i krzewy przyziemne już się owiły ciepłą, zieloną gazą na zimowych węzłach gałęzi, że na łączce leśnej, zwłaszcza gdzie mokrzej, miliony ostrych mieczyków nastawiły się do góry bladozielone, a tu i ówdzie kaczeńce niewątpliwie krzyczą płomykami, że już wiosna". Jak widzimy więc leżą przed nami fragmenty apologii natury, pochwały przyrody wiejskiej. Wśród niej żyje „dryjada" tych lasów — Warszulka. Nie dziwmy się tej dryjadzie. W raju szybko przecież zostaje się boginką.

Zrozumienie funkcji przytoczonych opisów w ideologii Weyssenhofa ułatwiają jego jawne wyznania uczynione na kartach książki. „Przebłyski rajskiego instynktu człowieka w gmatwaninie cennej przez wieki wywyższającej zabójczej wytwornej i podłej cywilizacji". A więc cywilizacja jest „zabójcza" i „podła", a więc jej wytacza się w „Sobolu i pannie" proces, propagując równocześnie powrót do natury, do lasów litewskich, do kobiet prostych a hożych.

Powrót do natury, walka z cywilizacją to brzmi dosyć wzniośle, chociaż nie bardzo jasno. Jaką bowiem cywilizację się potępia, do jakiej natury się wraca? Tu tkwi sedno zagadnienia. W siedem lat przed ukazaniem się „Sobola i panny" na rynku księgarskim w innej powieści tego samego autora w „Synu marnotrawnym", Fabiusz Oleski zabłąkany między arystokrację i wielkie mieszczaństwo spędzające sezon w Nicei i w Monte Carlo, obwinia współczesną mu kulturę zachodnio-europejską o „brak estetyki", „fałszywą pozę" i „zdzierstwo". Chodziło tu oczywiście o cywilizację wytworzoną przez prawidłowy rozwój kapitalizmu dający „prymat społeczny" pewnym grupom burżuazji. Ale cóż za to proponuje się nam w raju, w owych lasach litewskich? Ucieczka do natury na stronicach „Sobola i panny", to ucieczka do folwarków, w taką rzeczywistość społeczną, z której wyrugowane jest mieszczaństwo tak przemysłowe jak i finansowe. Kapitalizm reprezentuje jedynie grupa ziemiańsko-obszarnicza. Niedarmo w owym „poemacie prozą" nie ma ani Podfilipskich, ani bankierów Rubensonów, ani nawet Hellów. Pisarz wygnał ich ze swej ziemi obiecanej, kazał opuścić im ten bardzo specjalny raj, którego okazał się twórcą.

Michał Rajecki po częstych spotkaniach z arystokracją dochodzi do przekonania, w pełni zresztą zaaprobowanego przez autora, że miłość i przyjaźń istnieją tylko wśród średniej szlachty, że tam jest „estetyka" i „poetyczna awantura". Nie dziwmy się temu, nie dziwmy się tym rozczarowaniom, jakich bohaterzy dzieł Weyssenhofa z lat 1911—1921 doznają regularnie przy zetknięciu się z przedstawicielami polskich starożytnych a „czcigodnych" rodów. Arystokracja bowiem zdaniem autora „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego" wiąże się z mieszczaństwem, przyjmuje typ kultury wytworzony przez ustrój kapitalistyczny na zachodzie Europy, aprobuje gusta estetyczne i styl życia idący z Paryża, giełdę i spekulacje bankowe. A temu właśnie przeciwstawia się Weyssenhof. Jego przecież tak zdecydowana w latach 1898—1904 krucjata przeciw kosmopolityzmowi była w rezultacie krucjatą przeciw wpływom kultury mieszczańskiej, jaką stworzyła XIX-wieczna Francja. Stąd powstać może przekonanie, że Weyssenhof jest pisarzem antykapitalistycznym. Byłaby to jednak pocieszna omyłka. Weyssenhof wprawdzie będzie tak w tym jak i w późniejszym okresie swej działalności literackiej zwalczał burżuazję, ale finansową i przemysłową, będzie występował przeciw kapitalizmowi, ale tylko przeciw jednej z jego form. „Soból i panna" bowiem to dzieło broniące uporczywie interesów polskiego ziemiaństwa. Ukazuje nam ono przecież jako raj, jako obraz świata, zyskujący pełną pozytywną ocenę autora, dwory, majątki, mająteczki, polowania, szlagońskie braterstwo, jednym słowem całą podbudowę i nadbudowę specjalnej odmiany zwichniętego kapitalizmu, opierającego się tylko i wyłącznie na własności ziemskiej. Nie tu jednak znajdziemy bodajże najciekawszą koncepcję książki, pozwalającą nam przy tym na dalsze odczytanie jej funkcji społecznej. Stanowi ją bowiem problematyka „unii", aliansu, rozwinięta wprawdzie nie tak szeroko jak w „Gromadzie", ale w najważniejszych swych rysach już sprecyzowana i to w niemal identyczny sposób jak w dwa lata później, w r. 1913.

III.

Równolegle do miłości Michała i Warszulki przebiega wątek erotyczny Stanisława Pucewicza i Anielki Trembelówny, wątek dużo donioślejszy, jeśli chodzi o rozszyfrowanie ideologii powieści. Stanisław Pucewicz jest osiadłym na Litwie ziemianinem, szlachcicem z dziada i pradziada, właścicielem Gaczan. Przedmiotem jego miłości jest chłopka. I co ciekawsze, romans kończy się małżeństwem. Nie pomagają ani sprzeciwy ojca Stanisława, ani presja środowiska. Młody Pucewicz stanie przed ołtarzem obok chłopki. Autor popiera jego zachowanie, wartościuje je dodatnio. Czyżby więc Weyssenhof proponował ścisły związek ziemiaństwa z „ludem"? Tak, tylko pytanie z jakim „ludem", z jaką grupą społeczną mieszkańców wsi? Aniela Trembel jest córką poważanego kułaka, też posiadacza ziemskiego, wprawdzie nie nobilitowanego, nie herbowego, ale i nie o wiele biedniejszego od Pucewiczów. Może fakt ten nie stanowiłby wydarzenia na tyle doniosłego, na tyle kluczowego w fabule utworu, gdyby nie odpowiedni komentarz pochodzący bezpośrednio od autora. Otóż przed chwilą ogłoszono z ambony zapowiedzi małżeństwa Stanisława z Anielką. „I nikt już nie słuchał wychodzących dalej zapowiedzi, że Żwirblis ma się żenić z Makuszówną, Pipinis z Żukielówną, Balczunas z Tumelanisówną... Były to wypadki polne, doroczne. Większa unia ogłoszona poprzednio zajmowała umysły, a chociaż była właściwie tylko prywatną ugodą dwojga ludzi, spółparafian, miała swą doniosłość ogólną, którą bez teoretycznych rozumowań odczuwała gromada obecnych". Jak bardzo zmienił się sposób stawiania zagadnienia „unii" w twórczości Weyssenhofa od czasów powieści pod tymże tytułem! Tam małżeństwo łączyło szlachciankę i przemysłowca, o również ziemiańskiej genealogii. Związek ten symbolizować mógł co najwyżej jakieś zbratanie się „Litwy" z „Koroną", a ściślej burżuazji obszarniczej zamieszkującej Żmudź i Kongresówkę. Niczego więcej w małżeństwie Krystyny z Kazimierzem Rokszyckim zobaczyć się nie da. W „Sobolu i pannie" pojawia się propozycja jakże odmienna, ściślej i dokładniej wyłożona w „Gromadzie", propozycja sojuszu z „ludem", aliansu szlachcica i chłopa. Ale ów sojusz z „ludem" — jest to wyłącznie sojusz z kułakiem. Chodzi tu o całkowite zespolenie i uzgodnienie interesów wewnątrz burżuazji, opartej o lokatę kapitału w ziemi, w majątkach rolnych. Zamiast uprzedniego przeciwstawienia separatystycznym dążeniom narodowców litewskich jakiegoś mistycznego związku Polski i Litwy, otrzymaliśmy tym razem projekt bloku dwu grup społecznych, bloku wymierzonego niedwuznacznie w proletariat.

Michał Rajecki nie ożeni się jednak z Warszulką, nie idzie śladami swego przyjaciela. Bo nie może się ożenić uzyskując równocześnie pozytywną ocenę swego „mezaliansu" ze strony autora. Aniela Trembelówna jest bowiem córką kułaka. A Warszulka? Warszulka to „dziewka folwarczna", to wiejski proletariat. Weyssenhof zaś nie głosi sojuszu z proletariatem. Dlatego też Miś Rajecki wyrzeknie się Warszulki i wyjedzie na dalsze studia, trochę żałując tak szybkiego finału przygody, trochę wspominając jej uroki. Pełne uznanie autorskie zyskuje natomiast młody Pucewicz. Na jego dziejach przeto możemy odczytać dalszy sens „Sobola i panny", możemy zarazem zbadać nowość ideologii tam zapisanej, nowość oczywiście, w odniesieniu do poprzednich powieści J. Weyssenhofa. Nie znajdziemy przecież apelu o sojusz szlachty z kułactwem ani w „Żywocie i myślach Zygmunta Podfilipskiego", ani w „Sprawie Dołęgi", ani w „Synu marnotrawnym", ani nawet w „Hetmanach". Co powoduje tę nagłą zmianę w dotychczasowych tendencjach autora „Dni politycznych"? Wiemy przecież dobrze, że ani Dołęga, ani Oleski, ani starszy, ani młodszy Rokszycki nie byli ukazywani w momencie nawiązywania jakieś „unii", jakiegoś porozumienia z posiadaczami chłopskimi. Problem ten pojawił się dopiero w r. 1911, a więc po rewolucji 1905. I w tej rewolucji szukać należy przyczyn wpływających na genezę podobnych koncepcji ideologicznych. W roku 1905 Polska przeżyła pierwsze, na większą skalę zorganizowane, rewolucyjne wystąpienie proletariatu. I to nie tylko miejskiego. Były również strajki rolne. Proletariat wiejski zaczął dochodzić do głosu. Ziemiaństwo musiało się z nim zetrzeć. Nic więc w tym dziwnego, że najzawziętsze, najostrzejsze pamflety Weyssenhofa wymierzone są w ruch robotniczo-chłopski.

W walce z proletariatem ziemiaństwo potrzebowało sojusznika. Znalazło go. Był nim kułak. Tu więc ma swe ukryte źródła pochwała gospodarza, Piasta, krzepy chłopskiej. Tu wreszcie tkwi rodowód apologii małżeństwa Stanisława Pucewicza z Anielką Trembelówną. Oczywiście, że „ludomania" polska na przełomie XIX i XX w. była zjawiskiem bardziej zróżnicowanym. Nie wszystkie jej objawy można tłumaczyć wydarzeniami roku 1905. Teorie „włościaństwa", wykładane przez Popławskiego na łamach „Głosu", pochodzą już z końca XIX wieku. Ale w wypadku Weyssenhofa nagłe przesunięcie jego problematyki spowodowane zostało wystąpieniem proletariatu wiejskiego. Weyssenhof reprezentował burżuazję obszarniczą. A ta zagrożona została później, a niebezpieczeństwem bezpośrednim dla tej grupy społecznej okazały się nie strajki fabryczne, lecz dalsze chronologicznie strajki rolne. Toteż „Soból i panna", toteż „Gromada", przychodzą znacznie później niż „Wesele", niż „Chłopi", niż „Opowieści tatrzańskie" Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Mają też inny sens. Dlatego trudno widzieć w owym powtarzanym raz po raz przez pisarzy owej epoki apelowaniu do potęgi chłopa jakiś jednolity schemat ideologiczny. Reymont i Weyssenhof na przykład to dwie różne ideologie, to reprezentanci dwu różnych grup wewnątrz burżuazji. W „Gromadzie" blok ziemiańsko-kułacki znalazł już swoich przeciwników. Będą nimi radykalni działacze ludowi i najemni robotnicy rolni, „leniwi", „bezczelni", parobcy, pragnący kolektywizacji ziemi. Przeciwnicy ci zostali potępieni. Potępiał ich nie tylko Weyssenhof, za jego piórem kryły się interesy ziemiaństwa polskiego, którego żarliwym obrońcą, namiętnym apologetą okazywał się pisarz ten zawsze. Manifestacje klasy robotniczej, krwawe demonstracje w Łodzi znalazły odpowiedź ze strony burżuazji obszarniczej. Znalazły również i w prozie, i w publicystyce: Dmowski pisze „Podstawy polityki polskiej", Weyssenhof zaś „Hetmanów" oraz „Sobola i pannę".

Lech Budrecki

STANISŁAW WYGODZKI

WIERSZE SZPITALNE

WIERZBA

Mówią mi: znów jesteś chory,
spokojnie pozostań w łóżku.
Za oknem blade wieczory
nad leśną i stromą dróżką.

Mówią mi: czekaj cierpliwie,
powoli, a wróci zdrowie.
A tam jest ciemne igliwie,
rzeka i klon i sitowie.

Mówią mi: zostań w pokoju,
ostrożnie, znowu cię boli.
Jak zostać? Dwie wierzby stoją,
ramiona podają powoli.

* * *

W jednym sercu dwie rozpacze,
w jednym sercu klęsk dwadzieścia
Chodzę po nieznanym mieście,
w którym nigdy nie zapłaczę.

Ale chodzę tam powoli
i ostrożnie, jakbym budził
pożegnanych dawno ludzi
pożegnaniem, które boli.

Mijam drzewa widne w dali,
wzgórza, domy, jak za młodu,
lecz za późno do ogrodu
i za wcześnie do szpitala.

Chyba w polu zostać jeszcze
ptaki liczyć, ale ptaki
przefrunęły mi orszakiem,
kracząc, kracząc mi złowieszczo.

LISTOPAD

Co jest za nocą? Co jest za snem
i za milczeniem?
Liście umarłe pływają dnem
podartym cieniem.

Czego mi słuchać, gdy przyjdzie mrok?
Ciągle to samo?
Ojciec przechodzi, mija mój wzrok
i wołam: Mamo!

Potem przechodzi najmłodszy brat,
czemu nie patrzysz!
Kto tu nieżywy? Kto się tu wkradł
i ślad kto zatrze?

Duchy i cienie! Czymże jest cień
w grudce popiołu?
Córko! Nie mijaj! Idziesz przez sień
z pieśnią wesołą.
Już zawsze liście i zawsze piach
jedynym śladem?
Popiół na szybach, liście przy drzwiach
w noc listopada.

ROZMOWA Z JULIANEM PRZYBOSIEM

Mówisz Julianie: moja córka,
córeczka Wyki i inne dzieci...
Ja nadsłuchuję. Z głębi podwórka
na którym auta śpią w upale
żaden do mnie głos nie doleci
ani z Krupniczej ani z Alej.

Słucham. Milczę. Jakże cię ostrzec —
przestań! Jutro będziesz w Krakowie,
oknem otwartym kasztan powiał
małej dziewczynce i jej siostrze.
Do mnie nie woła w listowiu kwietnia
córeczka czteroletnia.

W skwarne południe idę w Aleje,
w senność upalną Mokotowskiej.
Jedziesz do córek. Ja idę w dzieje
mojej spalonej córki i troski.
Dlatego milczę. Bo cóż opowiesz
o mojej córce dzieciom w Krakowie?

NAD FOTOGRAFIĄ CÓRKI

Mam dla ciebie łzy
jakich nigdy nie znałem.
Idziesz przez moje sny
w sukni białej.

I uśmiech dla ciebie mam
jakiego nigdy nie było.
Idziesz, zostaję sam
wśród pyłu.

I tak się szybko rozwiewasz
jak sen i pył,
a ty Spalona mi śpiewasz,
jakbym przy tobie żył.

Nie śpiewaj, proszę cię, rzuć
pieśni. W ciszy zostanę.
Czy chcesz, abym znowu się truł
i ciebie zapomniał i ranę?

O MATCE

Moja Matka nie miała siwych włosów,
moja Matka nie miała bruzd na czole.
Wóz ładowny zawiózł Ją na pole —
w mroku zapłonęły błyski papierosów.

Moja Matka miała ręce w kurzu,
a na skroni krew i plamę siną,
co wykwitła ledwie przed godziną
gdy stanęła z ojcem, w rzędzie,
na podwórzu.

Zanim spłonie po dniu pełnym wrzawy,
zanim wiersz złożyłem tą żałobną czcionką,
pochylona poszła oświęcimską łąką
po garstkę wonnej trawy.

DOROŚLI

Wszyscy mówią to jedno,
wszyscy mówią to samo,
szepczą spokojnie: mamo
i niespokojnie bledną.

Wszyscy mówią: przemijam,
ale myślą: zostanę.
Nagle budzi nad ranem
myśl, że tamci nie żyją.

Potem chodzą jak struci,
milczą, milczą i palą
pełni smutku i żalu
temu co, cicho zanucił.

WIECZÓR GRUZLIKOW

Siedzą wieczorem przy stole.
Mówią zwyczajnie. Jak ludzie.
Mają złe zmarszczki na czole.
Za oknem zima. Jest grudzień.

Siedzą. Gawędzą. Ziewają.
Wkrótce powrócą do łóżek.
Mówią: napewno już w maju,
znowu przejdziemy podwórzem.

Będą chodzili. Jak dawniej.
Będzie zielono i trawa.
Cieszą się. Mówią zabawnie:
Łódź, Częstochowa, Warszawa...

Potem pogrzebią w swej szafie
i jak z piwnicy zburzonej
wyciągną dwie fotografie —
małej dziewczynki i żony.

Wtedy nie mówią już wcale.
Wtedy pomilczą. Jak ludzie.
Cicho, idzie przez sale
wieczór gruźlików. Jest grudzień.

Patrzą w twarze odległe.
Kogo tam widzą? Ja nie wiem.
Żonę zmiażdżyły cegły
z dzieckiem co żyło w jej śpiewie.

A potem westchną. Jak ludzie.
I pewnie myślą o dzieciach.
Noc. Już późno i grudzień
i tak, jakby kruk przeleciał.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Opowiadania Bohdana Czeszki*)

Zabawna historia: czytając tomik prozy Bohdana Czeszki myślałem raz po raz, nie bez pewnej — przyznaję — irytacji, o pokrewieństwach zachodzących pomiędzy nim a prozą Wojciecha Żukrowskiego, stanowiącą niegdyś przedmiot burzliwej dyskusji w naszej prasie literackiej. Pokrewieństwa te nie wydawały mi się zbyt głębokie, dopatrywałem się ich jednak w tych warstwach utworu, na które przy czytaniu zwraca się uwagę przede wszystkim, i o których sens i znaczenie toczyła się niegdyś walka między „Kuźnicą" a naszymi oponentami. Zwalczaliśmy zachwyty nad „mięsistością", jędrnością języka, nad biologizmem, za którym krył się u Żukrowskiego niedostatek problematyki. Usiłowaliśmy wykazać, że te wszystkie jędrności są rodem z naturalizmu i że w drodze do syntetycznego, typowego ujęcia rzeczywistości, właściwego realizmowi, raczej przeszkadzają. Nim zabrałem się do napisania o książeczce Czeszki, w „Odrodzeniu" ukazała się recenzja z niej, właśnie pióra Żukrowskiego. Nie sądzę — podkreślam raz jeszcze — aby pokrewieństwa Żukrowskiego z Czeszką były zbyt głębokie i za chwilę postaram się oznaczyć ich granice, ale pewne fragmenty recenzji Żukrowskiego zmuszają mnie do rozpoczęcia akcentem polemicznym i zasygnalizowania niebezpieczeństw, grożących młodemu pisarzowi w wypadku przejęcia się sugestiami swego kolegi po piórze.

„Co kryje się — pisze Żukrowski — w debiucie Czeszki pod skromnym tytułem „Początek edukacji?" Och, nie myślę wam tej książki zachwalać, bo natrafiwszy na podszpikowany wulgarnością język przedmieścia, czy przejaskrawione z łobuzerskiej przekory postaci dziedziczki i jej córki, podniesiecie lament, że was w błąd wprowadzam. Mnie też rażą przerysowania naturalistyczne i oświadczam, że autor mógł nam oszczędzić oglądania znaleziska pod oknem dworskiej sypialni, ale znam radość ryzykanckiej przekory i sam tu nie jestem bez winy. Wolę już jednak ten burzliwy nadmiar, wygarnięcie bez reszty, niż fryzjerską pomadę i gipsowy patos. Co mnie w tej książce urzeka? Życie. Rozumiecie, życie na kartach tej książeczki tętni nie mniej bujnie, niż to, w którym się poruszacie". Dalej po krótkim zreferowaniu treści i problematyki nowel Czeszki następuje u Żukrowskiego podkreślenie zmysłowości, nasycenia realiami, zachwyt nad opisem glinianki o świcie, pary spętanych koni, i uwagi krytyczne, dotyczące języka.

Być może, iż nie znając doskonałych w swoim rodzaju stylizacyj z „Piórkiem flaminga", nie mając przed oczyma blasków i cieni opowiadań, zawartych w tomie z „Kraju milczenia", nie zwróciłbym uwagi na wyżej zacytowane sformułowania Żukrowskiego-krytyka. Z opowiadań Czeszki wnosić można niewątpliwie, że jest w nim materiał na dobrego pisarza: że umie on obserwować i plastycznie odtwarzać zaobserwowane realia. Wydaje mi się jednak, że między wytknięciem przerostów naturalistycznych z jednej strony, a unoszeniem się nad „tętniącym" w prozie Czeszki „życiem" z drugiej — zachodzi u Żukrowskiego pewien brak konsekwencji. Co Żukrowski nazywa przerostami naturalistycznymi? Szczegóły drażniące jego poczucie estetyczne? To mało! Niebezpieczeństwo naturalizmu tkwi u Czeszki właśnie w owym „tętniącym życiu", w biologizmie, w dialogach i szczegółach opisowych, nie popartych dostatecznym autorskim komentarzem, w dużej stosunkowo wrażliwości zmysłowej przy mniej na razie wyrobionej wyobraźni intelektualnej. Tym co stawia jego debiut w moich oczach pod pewnym względem wyżej od debiutu Żukrowskiego — są bardziej mi oczywiście odpowiadające intencje ideologiczne Czeszki. Intencje, lecz nie zawsze osiągnięcia, do tych bowiem dochodzi się po przez walkę z błędami artystycznymi. Nie stałoby się, sądzę, dobrze, gdyby Czeszko nawet obwarowane zastrzeżeniami komplementy Żukrowskiego wziął nazbyt serio.

Bądźmy uczciwi i powiedzmy, że nieszczęściem wiekszości „obiecujących" młodych prozaików bywa u nas przechwalenie zalet ich plastyczno-stylistycznego kunsztu i, jako konsekwencja, to, że potem albo nie mogą wygrzebać się ze stylistycznych wprawek i miniatur, albo puszczają się w stylotwórstwo typu Gołubiewa. Kiedy próbują pisać zwykłą, narracyjną powieść dla czytelnika obojętnego na piękne opisy glinianek o świcie, cały ów stylistyczno-plastyczny kunszt często zawodzi. To też dalecy od lekceważenia tych walorów, wyróżniających Czeszkę jako debiutanta, nie będziemy się nad nimi zatrzymywać. Powiemy krótko: spodziewamy się po nim czegoś więcej.

Tematy okupacyjne należą już dzisiaj do trudnych. Nie wystarczą wrażeniowe migawki. Rozstrzyga problematyka, nowy sposób jej ukazania. Rozumieją to dobrze pisarze doświadczeni, dając, jak Adolf Rudnicki, Brandys czy ostatnio Wygodzki (niezależnie od wszelkich ewentualnych zarzutów, jakie można by czynić każdemu z nich) pewne historyczno-syntetyczne próby spojrzeń na te oddalające się już od nas wydarzenia. Właściwie można by zaryzykować twierdzenie, że aby powiedzieć o wielkim okresie wojennym coś na prawdę istotnego, coraz bardziej potrzebna jest powieść, a nie nowela. I tu Żukrowski ma rację pisząc, że nowela wymaga większej dojrzałości od czytelnika, domyślania przezeń ledwie naszkicowanych wątków. Właśnie dlatego potrzebujemy bardziej powieści, realistycznej powieści, skoro chodzi nam o wychowywanie odbiorcy.

Być może, iż tu leży właśnie jedno ze źródeł niektórych pretensyj, jakie należy zgłosić pod adresem nowel Czeszki. Jest to pisarz o sprecyzowanej postawie ideowej. Konflikty, które ukazuje w swych opowiadaniach — to na ogół zawsze konflikty na tle klasowym. Walka wewnętrzna proletariusza z środowiska, któremu grozi przeobrażenie się w lumpenproletariat, namawianego, by wstąpił do „sypiącej", prowokacyjnej organizacji podziemnej („Zdrada świętej sprawy"). Konflikt dworu i czworaków na tle politycznej orientacji okupacyjnej („Synowie"). Przegrana walka o inteligencką duszyczkę chłopca z rodziny kołtuńsko-mieszczańskiej w obliczu tragedii getta („Mikołaj, który nic nie zrozumiał"). Również w dwu ostatnich opowiadaniach („Egocentryzm" i „Moja nienawiść biologiczna"), aczkolwiek ukazane w nich konflikty przedstawiają się mniej przejrzyście, zaznaczona jest wyraźnie postawa ideowa autora, którego bohater bierze udział w walce z faszyzmem w szeregach organizacji lewicowych.

Jednakże z opowiadań tych tylko pierwsze uznałbym za osiągnięcie, w których autor podołał postawionemu przez siebie zagadnieniu. „Zdrada świętej sprawy" jest całkowicie utrzymana w proporcjach artystyczno-ideologicznych, klarowna i sugestywna. Sylwetka bohatera, uprawdopodobniona psychologicznie, stanowi pewne novum na tle naszej nowelistyki powojennej. W każdym z opowiadań pozostałych coś się załamuje, coś sprawia, że mimo „tętniącego" w nich — jak pisze Żukrowski — „życia", teza główna nie zostaje przeprowadzona w sposób artystycznie przekonywujący, a w opisie wydarzeń i rysunku psychologicznym postaci rażą uproszczenia. Wydaje się, że autor mógłby ich uniknąć, gdyby nie stawiał sobie pozornie tylko łatwiejszego zadania zamknięcia owych zagadnień w formie nowelistycznej, ale rozwinął je szerzej w powieści.

Na czym wspomniane przez nas uproszczenia polegają? Jaka jest ich przyczyna wewnętrzna? Wydaje mi się czymś więcej niż przypadkiem szczegół, że jedyne, wytrzymane według mnie artystycznie opowiadanie Czeszki jest zarazem jedynym, w którym nie występuje narrator w pierwszej osobie. Jest ono dzięki temu najbardziej zobiektywizowane, pozwala autorowi panować nad kreowanymi postaciami. Postać narratora jest natomiast u Czeszki wszędzie, we wszystkich pozostałych opowiadaniach, wyraźnie chybiona. Narrator ów po prostu nie dorasta do funkcji, którą sprawuje, gdyż autor, który z jednej strony sam się jego ustami wypowiada, z drugiej — stara się najniepotrzebniej w świecie ciągle go kompromitować. Czyni to przy tym jak gdyby z dwu stanowisk. Po pierwsze — z młodzieńczego stanowiska autorskiej wstydliwości wobec swojego alter ego: narrator wyraża się np. lekceważąco o swojej twórczości artystycznej, odprawia demonstracyjnie samobiczowanie z powodu doznawanego uczucia lęku, kiedy grozi mu aresztowanie, ośmiesza własne postępowanie, kiedy jako niedowarzony komendant milicji poszukuje zemsty na volksdeutschach. Po drugie, ze znanego nam dobrze, a w tym wypadku zupełnie chybionego stanowiska „kajającego się inteligenta". Autor stara się jak gdyby dla zamanifestowania postawy swego bohatera, trudniącego się podczas okupacji pracą fizyczną i solidarnego z dążeniami proletariatu — ująć mu nieco cech własnych, własnej inteligencji, rozsądku, bystrości, czyniąc zeń niekiedy najniepotrzebniej w świecie irytującego głupka. Bohater Czeszki przypomina tu nieco bohaterów Dygata, ale tamci mają przynajmniej powody, żeby się w ten sposób do siebie odnosić, bohater Czeszki nie ma natomiast żadnych. Właśnie połączenie słusznej i świadczącej o myślowym wyrobieniu postawy ideowej narratora z jego demonstracyjną, sztubacką (a wcale nie proletariacką!) „antyinteligenckością", właśnie ów snobizm na „chamowatość" jest denerwujący. Na szczęście nie zawsze mamy z nim do czynienia. Opisy sytuacyjne wprowadzają nas w klimat bystrej, nasyconej ideologicznie, autorskiej wiedzy o świecie. Zaraz po nich następują jednak dialogi i charakterystyki postaci, dojrzanych oczyma sztucznie skonstruowanego, niezbyt rozgarniętego wyrostka, w którego wciela się autor. Gdyby owa postać nie była narratorem, miałaby oczywiście pełne prawo obywatelstwa w utworze, mogłaby być ciekawie i bogato rozwinięta jako jedna z postaci. Narrator, porte parole autora, musi jednak panować nad sytuacją, ograniczenie skali widzenia przezeń świata zwęża całą perspektywę utworu. Szablonowe postaci dziedziczki z „Synów" i pani Zachwatowicz z „Mikołaja", cała żenująca problematyka ostatniego, najsłabszego z opowiadań („Moja nienawiść biologiczna") wypływa z owego patrzenia na świat oczyma kompromitowanej a jednocześnie wyrokującej o świecie postaci. O ileż szersze perspektywy, przenikliwszy sposób widzenia ma np. podobna postać narratora w opowiadaniach Borowskiego! U Borowskiego analogiczne próby autokompromitacji narratora, o które tyle miano do tego pisarza pretensji, nazywając je niesłusznie nihilizmem — mają głębszy sens. Dzięki postawie intelektualnej groteski ukazują czytelnikowi istotnie perspektywę szerszą niż ta, którą dostrzega pozornie tylko panujący nad zdarzeniami narrator. U Czeszki to nie wychodzi ze względu na niedostatek komentarza, narrator jest za mało skomplikowany wewnętrznie.

Jeśli autor chciał pokazać, że w bohaterze dokonywują się pod wpływem zachodzącej sytuacji zmiany wewnętrzne, to gatunek krótkiego opowiadania okazał się dlań gatunkiem zbyt trudnym. Nie zdołał on zamknąć w jego ramach tego zawiłego procesu. Sądzę, że o wiele lepiej posłużyłaby mu do tych celów powieść. Otworzyłaby mu poza tym możliwości rozłożenia na kilka różnych postaci cech, które zespolone w jednej osobie narratora dają w konsekwencji wynik nie przekonywujący artystycznie, a zatem, co uderza zwłaszcza w „Mojej nienawiści biologicznej", również fałszywy ideologicznie. Na utworze ciąży nie tylko brak pozytywnego bohatera, ale także uogólnienie bardzo wątpliwej i, jak sądzę, nie typowej sytuacji. Rzecz kompromituje nie tylko jednostkę, ale całą instytucję, nie wiadomo właściwie w imię czego. To co pisze Żukrowski o antynacjonalistycznej funkcji tego opowiadania, wydaje mi się zespołowym nieporozumieniem.

Obszedłem się z debiutem Czeszki stosunkowo surowo przez szacunek dla młodego pisarza, który niewątpliwie zasługuje na to, aby nie traktować go zdawkowo i nie zbywać klepaniem po ramieniu. Starałem się nie mierzyć go jakąś specjalną miarą, stosowaną wobec „młodości", lecz odnosić doń te same kryteria, z jakimi przystępowałbym do każdej książki pisarza-niedebiutanta. I sądzę, że nie popełnię omyłki, zachęcając autora „Początku edukacji" do przejścia od wprawek, które dał, do prób zakrojonych na szerszą skalę. One dopiero pozwolą w pełni ocenić jego szkicowo na razie zaznaczone walory pisarskie.

Ryszard Matuszewski

*) Bohdan Czeszko. „Początek edukacji"- Opowiadania. Sp. Wyd. „Czytelnik" W-wa 1949, str. 134.

„NIEMCY" L. KRUCZKOWSKIEGO W WARSZAWIE

Scena z I aktu: Hoppe: K. Pągowski, Schultz: Wł. Staszewski

Scena z III aktu: Antoni: J. Wasilewski, Peters: J. Jaroń.

LESŁAW WOJTYGA

O PRAWDĘ EPILOGU

MIARĄ zainteresowania, jakie skupiła na sobie sztuka Kruczkowskiego „Niemcy", jest niewątpliwie — obok żywego oddźwięku w szerokim kręgu widzów w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Berlinie, a więc wszędzie tam, gdzie niemal równocześnie weszła na deski sceniczne — przede wszystkim pilna uwaga, jaką darzy ją nasza prasa literacka. Omówieniu sztuki Kruczkowskiego poświęca „Kuźnica" nr 46 aż cztery artykuły: „Komentarz „socjologiczny" samego autora dramatu, Juliana Żuławskiego „Niemcy w Warszawie", Stefana Heymanna, więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, „W oczach Niemca" oraz „Spojrzenie historyczne i polityczne„ Stanisława Witolda Balickiego. Równoległy, 46 numer „Odrodzenia" zamieszcza niemal pełnokolumnowy artykuł Edmunda Osmańczyka pt. „Niemcy w Berlinie". Trzeba stwierdzić, iż to skupienie zainteresowania jest w pełni uzasadnione; sztuka Kruczkowskiego jest wydarzeniem dużej wagi w naszym życiu kulturalnym. Jest również w niemniejszej mierze wydarzeniem politycznym.

Pięć wymienionych na wstępie artykułów poddaje „Niemców" gruntownej krytycznej analizie; zawarte w nich oceny i sądy mieszczą w sobie obok w większości słusznych, a więc pokrywających się — również stwierdzenia niesłuszne, sprzeczne. Zdając sobie jednak w pełni sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo kryje w sobie rozpoczynanie polemiki z pięcioma naraz autorami, chciałbym omówić krótko parę najbardziej moim zdaniem zasadniczych momentów we wspomnianych wypowiedziach. Punktem wyjścia dla moich uwag będą niezwykle cenne dla krytyka wynurzenia samego autora dramatu zawarte w „Komentarzu „socjologicznym".

Kruczkowski na wstępie swojego artykułu wychodzi z założenia, iż nie ma dysproporcji między tytułem sztuki a jej konkretną zawartością treściową; stwierdzenie to oznacza, jak sądzę, że to, co mówi on o rodzinie Sonnenbruchów, chce powiedzieć również o wszystkich innych Niemcach. Że sens zjawisk i przeobrażeń dokonywujących się na scenie, to sens zjawisk i przeobrażeń zachodzących w Niemczech. Sąd ten opiera autor na dwóch przesłankach; po pierwsze, klasa robotnicza została przez brutalny i bezwzględny brunatny faszyzm tak skutecznie i gruntownie obezwładniona, że przesądziło to — obok zdradzieckiej polityki socjal-demokracji — jej faktyczną polityczną eliminację z areny walki; po drugie, inteligencja niemiecka — liczniejsza tam niż w jakimkolwiek innym kraju — odgrywała w Niemczech znaczną i znamienną rolę, stanowiąc na skutek ubóstwa postępowych i rewolucyjnych tradycji bazę rekrutacyjną aktywnych i w większej mierze biernych popleczników hitleryzmu. Zupełnie inaczej podchodzi do tego zagadnienia Juliusz Żuławski pisząc w swojej recenzji: „Jeżeli są to „Niemcy" — to Niemcy wybrani zbyt jednostronnie, Niemcy jednej tylko warstwy społecznej, Niemcy — mimo założenia zawartego w tytule — niedostatecznie reprezentujący cały naród niemiecki".

Osobiście byłbym skłonny zgodzić się z tym raczej stanowiskiem; Żuławski wychodząc ze słusznego założenia, w dalszym ciągu swego artykułu dochodzi jednakowoż do niesłusznego moim zdaniem wniosku, iż błąd polega jedynie na niezgodności tytułu sztuki z jej treścią. Aby rozwikłać tę niejasność, sięgnijmy zatem do najbardziej obiektywnego sprawdzianu: do samej sztuki i jej wymowy.

Środowisko profesora Sonnenbrucha pokazane jest w sztuce Kruczkowskiego z drapieżną przenikliwością; z wyjątkiem tylko Berty i Liesel, postaci może nie tyle ubogich, ile niemal całkowicie zdekonspirowanych już w pierwszych momentach pojawienia się na scenie — złożony mechanizm działania innych osób rozszyfrowywany jest krok po kroku w trakcie rozgrywających się na scenie wypadków niemal bez reszty. Niepokojąca zagadka cywilizowanych wykonawców nieprawdopodobnych w swym zimnym okrucieństwie zbrodni przestaje być dla widza tajemnicą. Postawione sobie przez autora założenie znalezienia odpowiedzi na pytanie: nie j a k wyglądali i postępowali winni czy tylko współwinni hitlerowskiego bestialstwa, ale d l a c z e g o tak właśnie postępowali — zostało rozwiązane prawidłowo. A że tak właśnie postawione było założenie, świadczy o tym to, jak autor uzasadnia punkt wyjścia przy pisaniu sztuki, zawarty w pierwotnej formule tytułu „Niemcy są ludźmi": formuła ta miała pewne ostrze polemiczne — stwierdza Kruczkowski w swoim „Komentarzu":

„Polemiczne w stosunku do ujmowania w dotychczasowej naszej literaturze powojennej spraw i ludzi niemieckich tylko i wyłącznie od strony doznaniowej, urazowej, emocjonalnej. Literacki obraz Niemca w naszych współczesnych powieściach, nowelach, dramatach i filmach na tematy okupacyjne był obrazem o bardzo nikłej lub zgoła żadnej wartości poznawczej, mówił o gestach i minach, o funkcjach i uczynkach — nic jednak albo prawie nic o motywach działania, o mechanizmie wewnętrznym „funkcjonariuszy zbrodni", tym mechanizmie, na którym hitlerowski imperializm grał swoje potworne „imbrioglio".

Czy jednak na stwierdzeniu prawidłowości odpowiedzi na pytanie: dlaczego? — zakończyć można całą kwestię? Oczywiście nie. Prawda bowiem w niej zawarta jest tylko prawdą psychologiczną poszczególnych bohaterów dramatu, a zatem prawdą częściową. Znać psychologię oportunisty to nie znaczy jeszcze poznać sens ideologii oportunizmu. To też prawda ta okaże się niepełna, połowiczna przede wszystkim tam, gdzie od analizy trzeba przejść do zobrazowania mechanizmu pozytywnych przemian, gdzie chodzi o syntezę — a więc w epilogu sztuki. Jeżeli zatem dotychczas przytoczone argumenty nie byłyby dość przekonywujące, to niemal dowodu słuszności swojej tezy co do podstawowego założenia sztuki i głównej intencji autora szukałbym w tym, że Kruczkowski w swoim „Komentarzu „socjologicznym" o epilogu właśnie zapomina całkowicie. W przeciwieństwie — jakże charakterystycznym — do wypowiedzi Stefana Heymanna, który „oczyma Niemca" słusznie chce widzieć sens dramatu Sonnenbrucha jedynie poprzez pryzmat epilogu. Czemuż wreszcie służy potraktowanie postaci Petersa, o którym autor pisze, iż: „symbolizując tragizm niemieckiego ruchu oporu, jego zaszczuta samotność i brak zaplecza, spełnia głównie rolę katalizatora zagęszczającego lub wyzwalającego treści wewnętrzne „tamtych" — jeżeli nie tylko wypracowaniu pełnego obrazu psychologii Sonnenbrucha i jego otoczenia? Tutaj, wydaje mi się, tkwi błąd Żuławskiego. Nie odbierając sztuce nic z jej wielkich, nieprzeciętnych wartości sądzę, iż samo zwężenie tytułu — dokonane zresztą na scenach niemieckich — nie może jednak sprawić, że „Niemcy" staną się „dramatem na miarę wielkich realistów sztuki scenicznej, wzbogaconym w doświadczenia polityczne, w ideologiczną jasność widzenia". Świadectwem bowiem bogactwa doświadczeń politycznych i ideologicznej jasności widzenia może być jedynie treść sztuki.

*

Niezależnie od wyznaczonej przez autora Petersowi roli papierka lakmusowego, którym sprawdza się jedynie prawidłowość psychologicznych reakcji określonego środowiska, i Żuławski i Balicki w swoich recenzjach wskazują słusznie na ułomną symbolikę tej postaci. Ułomność ta uzewnętrznia się znowu najsilniej w epilogu: nie będąc bohaterem dramatu 1943 roku, Peters nie może stać się nim w roku 1949. Jego dramatyczne wyłonienie się z mroków niemieckiej nocy obnażyło z całą siłą nikłość i słabość pancerza niewiedzy, jakim otoczył się inteligencki liberał profesor Sonnenbruch. Pojawienie się jego nazwiska w dialogach epilogu nie może symbolizować wielkości i autorstwa przemian, jakie dokonywują się w narodzie niemieckim; nie mówi nic o siłach, które toczą i wygrywają walkę o nowe, demokratyczne Niemcy. Proletariat na szlakach swej heroicznej walki spotyka często—może na różnych etapach — Petersów i Sonnenbruchów i z radością włącza ich w swoje szeregi. W walce tej jednak nie przestaje być hegemonem, nie przestaje być potężnym magnesem przyciągającym drobnomieszczańskie opiłki. „Niemcy" dają nam wiedzę o losach opiłków. Nie dają nam odczuć potęgi magnesu.

*

Postacią wreszcie, która we wszystkich recenzjach budzi najwięcej zastrzeżeń a której „uczytelnieniu" Kruczkowski w swoim „Komentarzu" poświęcił najwięcej miejsca, jest Ruth. „Uczytelnienie" to jednak — jakkolwiek jest cenną wskazówką interpretacyjną, jak słusznie pisze autor, dla samych teatrów i dla widzów — nie może przecież zmienić scenicznego wydźwięku tej postaci. A Ruth na scenie — to bezsporna bohaterka dramatu 1943 roku. Sądzę, że najistotniejsze korzenie jej bohaterstwa to zrozumienie i jednocześnie pogarda dla tchórzliwej dezercji ojca; to zarazem leżąca u podstaw tej pogardy miłość dla niego jako autora jej własnej duchowej niepodległości. Prawda psychologiczna tego rodzaju odruchu wydaje się możliwa do przyjęcia, tym bardziej, że Ruth jest aktorką. W wielkiej scenie swojego życia gra frapującą rolę. Można wątpić, czy naprawdę zdoła w niej wytrwać wtedy, gdy zniknie podniecająca sceneria rodzinna i trzeba będzie stanąć samotnie w katowni Gestapo a potem w Ravensbrück—naprzeciwko śmierci. Ale wątpliwości co do postawienia tej postaci w sztuce nie pokrywają się z być może uzasadnionymi w ten sposób u widza zastrzeżeniami, czy los Petersa znajduje się w pewnych rękach. Chodzi raczej o to, że ten „indywidualny odruch bezwiednego może heroizmu jednostki" nie znajduje żadnego przedłużenia w epilogu, pozostając w ten sposób nawet nie „sportową odwagą", ale raczej „sportowym kaprysem", jakie „miewają nieraz młode, piękne kobiety" podniesionym niezasłużenie na wysoki moralnie piedestał bohaterstwa.

W ten sposób w epilogu zbiegają się wszystkie nici zastrzeżeń; w kręgu zdarzeń 1943 r. w rodzinie Sonnenbruchów, w świetle choćby najbardziej gruntownej i prawdziwej psychologicznie analizy nie można zamknąć naszej wiedzy o Niemcach. O nowe Niemcy nie walczy samotnie stary, złamany rodzinną tragedią profesor Sonnenbruch; walczy o nie klasa robotnicza na Wschodzie przede wszystkim, ale i na Zachodzie — walczy o nie nowa niemiecka młodzież. „To, że ci młodzi ludzie stanowią dziś jeszcze mniejszość, nie zmienia w niczym prawdy ich istnienia" — pisze w swoim artykule Osmańczyk — o młodzieży zachodnio-niemieckiej. Uwaga niewątpliwie słuszna — tak jak słuszna jest również jego generalna, zawarta w recenzji z berlińskiej premiery, ocena epilogu.

Niesłuszny byłby jedynie wniosek, do którego — może tylko pozornie — daje asumpt samo zakończenie artykułu, jakoby epilog był w ogóle niepotrzebny. Epilog bowiem jest w „Niemcach' niezbędny. Tylko inny. Taki, jaki w naszych oczach pisze życie.

Lesław Wojtyga

KANDYD

Dwie Francje

„Francjo, kraino wolności! Republiko w złotym kasku, do tej swobody blasku chadzały pielgrzymki w gości..."

Tak pisał Jarosław Iwaszkiewicz w swej pięknej „Odzie do Francji", drukowanej ostatnio w naszej prasie literackiej i codziennej. Słowa te zwraca poeta do wielkiej ludowej Francji, walczącej o wolność dla uciskanych, do Francji, jaką nauczyły nas kochać piękne dzieje jej ludu — przyjaciela wolności wszystkich narodów świata. Ta Francja zawsze była i będzie nam droga. Ku jej stolicy „przez mnogie lata skłaniano ucho i oko, czy łuna, patrzano, nie zgasła, czy nie słychać stamtąd hasła, czy brat nie zawoła brata, jak daleko i szeroko buntownicze pieśni spłyną, Francjo, wolności kraino!"... Jest to Francja rozumu i postępu, kraj wielkich rewolucyj i obrony praw człowieka, ojczyzna płomiennego ludu, który zburzył Bastylię, ojczyzna komunardów, ziemia artystów i filozofów, Francja Woltera i Stendhala, Francja Rocheforta i Zoli, Francja Thoreza, Aragona i Fryderyka Jolliot. To przecież tę, nie inną Francję kochał Adam Mickiewicz i Jarosław Dąbrowski, ją też darzy niezmienną przyjaźnią Polska ludu pracującego, i jej głosów nasłuchują wszystkie narody pragnące wolności. Ta właśnie wielka i szlachetna Francja — ustami jednego ze swych wiernych synów, ustami Marcelego Cachin przekazała Polsce Ludowej gorące słowa solidarności. Tę właśnie Francję czciliśmy w ostatnich tygodniach, w 25 rocznicę śmierci jej świetnego pisarza — obrońcy wolności, Anatola France.

Lecz istnieje także inna Francja. Francja spodlałych mieszczan drżących o swoją rentę. Francja tępych policjantów i sprzedajnych ministrów. „Urągasz dziś urąganym, wyganiasz raz już wygnanych, szukających twej ochłody, odmawiasz im chleba, wody, jabłek soku, winogradu, obcowania z twoim ludem, wygnałaś Jorge Amado, wyganiasz Pabla Nerudę!" — do niej, do innej, złej Francji zwraca te gorzkie słowa autor ody.

Reakcja francuska potrafiła zawsze bez wstydu odsłaniać swe oblicze. Ujrzeli ją komunardzi paryscy w roku 1871, zna je równie dobrze ludność Vietnamu w roku 1949. Francja Thiersa i Galifeta, Francja Lavala, Petaina i Mocha chętnie drapowała się w narodowe sztandary, aby dławić odruchy wolności i ciemiężyć lud. Tradycję tę kontynuuje dziś burżuazja francuska zaprzedana amerykańskiemu kapitałowi i posłusznie wykonująca polecenia Departamentu Stanu.

W ostatnich tygodniach te dwie Francje ukazały się nam niemal jednocześnie. Jedną — prawdziwą i wielką — spotkaliśmy w osobie Marcelego Cachin, który przywiózł Polsce pozdrowienia od francuskich mas pracujących. Ona również — potężna i gniewna — w parę dni później kazała zamilknąć i znieruchomieć swej stolicy przez dwadzieścia cztery godziny strajku powszechnego.

Druga Francja — przewrotna i niegodna imienia swego narodu — wybrała tym razem jako swój symbol chudą figurkę p. Mocha. Podczas gdy Polska serdecznie witała Cachina, i gdy polski czytelnik spotykał mądre oczy France'a, patrzące ze szpalt naszych pism, w tym samym czasie minister Moch na czele zmotoryzowanej kolumny policyjnej szalał na ulicach Paryża, aresztując Polaków. W odwet za zdemaskowanie pospolitego szpiega — reakcja francuska targnęła się na immunitety dyplomatyczne i wtrąciła do więzień niewinnych ludzi. Tej haniebnej akcji nie starano się nawet nadać pozorów legalizmu. Byłoby o nie dość trudno: bezprawne rewizje przeprowadzone w instytucjach o charakterze tak niebezpiecznym, jak.. Polski Czerwony Krzyż.

U podstaw tego szaleństwa — pamiętajmy o tym — tkwi klasowy odruch. Wybuch histerycznej wściekłości rentierów i policjantów nastąpił w tym samym dniu, kiedy proletariat Paryża kończył swe ostatnie przygotowania do wielkiego strajku powszechnego. Zbieżności tej nie wolno lekceważyć. Doświadczenia przeszłości uczą, że nie jest ona przypadkowa. Tak bywało zawsze. Ilekroć Francją rewolucyjną, demokratyczną wstrząsał dreszcz buntu — Francja świętego przymierza posiadaczy i szpiclów odpowiadała zawsze wybuchami wściekłości i strachu.

Hańbą wypadków paryskich nie wolno nam ani przez chwilę obciążać imienia Francji, którą nauczyliśmy się kochać za piękne dzieje jej dążeń wolnościowych, jej literatury i sztuki. Ta Francja nigdy nie przestanie nam być droga i bliska, i nigdy nie zdradzi naszej przyjaźni. Wrogowie jej będą zawsze naszymi wrogami, nasi przyjaciele będą zawsze i jej przyjaciółmi. Pamiętajmy bowiem, że to co się stało w Paryżu, skierowane jest nie tylko przeciw Polsce, nie tylko przeciw obozowi demokracji, lecz także przeciw samej Francji — ojczyźnie postępu i swobód obywatelskich.

„Nie tak to u ciebie było i nie tak u ciebie będzie, kiedy naród wstrząśnie siłą, i przestanie być narzędziem, kiedy lud twój będzie rządzić".

Kandyd

MARIUSZ MARGAL

Złudzenia

Konsjerżka uchyliła zlekka drzwi. „Bonjour, mademoiselle Sophie!" — zawołała, ale Zofia przebiegła szybko sień i przeskakując po dwa, trzy stopnie, biegła śpiesznie na górę. List, którego się spodziewała, leżał już pod słomianką. Konsjerżka zawsze tak jej zostawiała korespondencję podczas jej nieobecności. Lewy brzeg koperty wystawał trochę spod słomianki, która była wytarta i bardzo brudna, i odsłaniał niepełny adres nadawcy: „JEAN HERN, HAUTE COUTURE". Konsjerżka wołała jeszcze z dołu: „Bonjour, mademoiselle Sophie!" i „Comment ça va, mademoiselle Sophie!" — w ten sposób zawsze łatwiej nawiązać rozmowę — ale Zofia bez słowa otworzyła drzwi i mięsząc niepewnie kopertę weszła do mieszkania. Konsjerżka spoglądała chwilę przez okręconą schodami ciemną klatkę, którą kiedyś, według pierwotnych projektów, miała zapewne chodzić winda, potem wzruszyła ramionami i wróciła do swojej izby.

Listu mogła Zofia właściwie już nie otwierać. Znała jego treść od koleżanek i wiedziała, że w słowach bardzo uprzejmych pan kierownik biura poprosi ją, pannę Zofię Beauchamps, w imieniu pana Jeana Herna, dyrektora i właściciela domu mody, do powrotu do pracy. W przeciwnym razie będzie mu bardzo przykro zastosować sankcje przewidziane... Czym przewidziane? Koleżanki Zofii, które już wcześniej otrzymały starannie powielane zawiadomienie, też nie orientowały się w tych cyfrach, datach i paragrafach umów, które cytowano w liście. Georges wiedziałby na pewno, ale Georges jest takim fanatykiem, zaraz powie czerwieniejąc na twarzy „je m'en fiche de LEURS contracts", gwiżdżę na ICH umowy, jak gdyby te umowy nie obowiązywały obu stron. Zapytać Georges'a? Georges uderzy pięścią w stół i powie: a zarobki też obowiązują obie strony? Georges ma swoją rację, to prawda, ale czy słyszano kiedykolwiek, aby strajkowały midinetki w Paryżu?

Mąż konsjerżki miał tuż obok niewielki sklepik ze słodyczami. Codzień rano wychodząc o dziewiątej do pracy, kupował u gazeciarza „l'Aube", jedyny porządny dziennik, jak mawiał. Gazeciarz instalował swe prowizoryczne stalugi wczesnym rankiem przy wejściu do stacji metra, aby w południe, kiedy ukazują się pierwsze wydania popołudniowych pism, ustąpić miejsca swemu koledze. Kiedy mąż konsjerżki prosił o „l'Aube", gazeciarz mrużył oko i pytał ironicznie: „A może tak raz „Franc-Tireur" albo „Combat", panie Leblanc?" Wtedy pan Leblanc wzruszał ramionami i, sobie raczej niż gazeciarzowi, odpowiadał nieprzychylnym pomrukiem pod adresem bezbożników, masonów i komunistów, t.j. tych wszystkich, którzy nie czytali „l'Aube". „L'Aube" miała jednak bardzo niewielu odbiorców, to też gazeciarz był w gruncie rzeczy zadowolony ze stałego klienta, a p. Leblanc chował gazetę do kieszeni od spodni, które poprawiał przy okazji na brzuszku, i oddalał się nadęty i wyniosły. Gazetę czytał dopiero w domu, gdy wracał na obiad o godzinie 12-ej, chociaż właściwie miałby czas na przeczytanie jej w sklepiku, i to od deski do deski: klientów było przecież tak niewielu! Ale p. Leblanc mawiał: „le boulot c'est le boulot", co znaczyło, że praca jest pracą, i siedział za ladą majestatycznie i poważnie. Żona radziła mu bardzo często, by zamienił sklepik ze słodyczami na jakieś bistro, bodaj małe, bo ludzie zawsze chętniej piją niż kupują słodycze, szczególnie w takie upalne lato jak w tym roku, a przy tym i pogawędzić można z klientami, ale p. Leblanc odpowiadał niewzruszenie, że sklep odziedziczył po ojcu, że tradycji się nie sprzeniewierzy, po czym wstawał od stołu i podchodził do wyblakłej fotografii, na której stał przed sklepikiem obok swego ojca. Ojciec miał długie wąsy i śmieszny kapelusz, który p. Leblanc przechowuje jeszcze na pamiątkę w szafie, a jego spodnie były komicznie wąskie i obcisłe. Chłopiec patrzał wyretuszowanymi oczami na ojca, który uśmiechał się dumnie: był przecież prezesem cechu cukierników, cechu a nie związków zawodowych!, na fotografii zaś, tuż nad głową ojca, ciągnął się napis na szyldzie: „Maison fondée en 1895". Nie, pan Leblanc nie zamieni sklepu na bistro, chociaż sam już od dawna nie fabrykuje żadnych słodyczy i jest tylko drobnym pośrednikiem a żona musi pracować jako konsjerżka, by mogli się utrzymać we dwoje i mieć jednoizbowe, ale zawsze bezpłatne mieszkanko.

Kiedy Zofia zatrzasnęła drzwi a pani Leblanc wróciła z klatki schodowej nie zaspokoiwszy swojej ciekawości, pan Leblanc kończył właśnie czytać gazetę i czekał na zupę, gorącą zupę jarzynową, której nie jadał inaczej jak przetartą, bo tak się jadało u nich w domu. Pani Leblanc nie czytała gazet i uważała to za stratę czasu. „Wszystko kłamstwo i propaganda" — mówiła, a kiedy była zła na męża, co się zdarzało zresztą bardzo rzadko, dorzucała: „Nawet twoja „l'Aube"!". Pan Leblanc jednak ignorował opinię żony w tej dziedzinie i codzień przy obiedzie opowiadał jej w kilku zwięzłych zdaniach, co się zdarzyło na świecie. Pani Leblanc wzruszała, kiedy kończył, ramionami i mówiła: „No tak, ale co MY na to możemy poradzić?", albo: „Czym MY możemy pomóc?". Jasne, że nic nie mogli poradzić: w Ekwadorze było trzęsienie ziemi, w Japonii był tajfun, na Florydzie był tornado, we Francji płonęły lasy. Bezwzględnie, że nic nie mogli pomóc: policja szukała złodziei biżuterii Agi Khana, nie odnalazła jeszcze sprawców napadu bandyckiego na kasjera banku, nie schwytała jeszcze morderców policjantów z rue de la Crimée, nie natrafiła na ślad uczestników napadu na urząd pocztowy. Tylko członkowie marszu głodowego na Marsylię zostali już zaaresztowani. Pan Leblanc składał starannie gazetę, lektura była skończona. Żona podała befsztyk i wino. Co za świat, co za świat, kręciła głową.

Zofia leżała na tapczanie. List przeczytała już dwukrotnie i znała go właściwie na pamięć. Co robić? Jeżeli pójdzie do Georges'a, to wie: Georges najpierw będzie krzyczał i zrobi się czerwony na twarzy, jak zwykle, potem będzie mówił o uświadomieniu klasowym, potem weźmie ją w ramiona i dziś na zebraniu Zofia będzie głosowała za strajkiem. Ale jeżeli Hern naprawdę spełni swoją groźbę? 6000 franków to niewiele, prawda, ale co zrobić bez nich? Georges też ledwie zarabia na utrzymanie, zresztą nie mogłaby od niego wymagać, sam też się męczy, dlatego przecież odkładają ślub. Sezon ma się ku końcowi, jeszcze tylko trzeba wykończyć modele, do tego kilku łamistrajków wystarczy. Zresztą patron też ma swoją rację: termin prezentacji jest już wyznaczony, zaproszenia rozesłane, sezon turystyczny w pełni, przyjdą panie w bogatych wieczorowych toaletach, przyjdą panowie we frakach i binoklach, kilku dziennikarzy zasiądzie na stronie, a modeli nie będzie. Wtedy nie będzie zamówień, wtedy nie będzie pensji. Górnicy byli silniejsi, jest ich więcej i też przegrali. Metalowcy też nie dali rady i rząd zamyka fabryki samolotów mimo ich protestów. To wszystko naprawdę nie ma sensu, przecież my i tak nic nie poradzimy! Droga panno Beauchamps! W przeciwnym razie będzie nam bardzo przykro zastosować sankcje przewidziane... Co mnie właściwie obchodzą metalowcy? Dadzą mi jeść, kiedy dostanę wymówienie? Nie, to naprawdę nie ma sensu, strajk midinetek!

Pana Leblanc Zofia spotkała wychodząc z domu na zebranie. Szedł, jak zwykle o godzinie drugiej po sjeście obiadowej, do sklepu, i jak zwykle, tyle tylko, że dziś z jakimś ironicznym uśmieszkiem, zaczepił ją w sieni.

— No jak tam — zapytał — strajkujemy, co? A jakże, przecież to modne teraz, mademoiselle, nieprawda? — Mrugnął okiem znacząco i dodał: — Mówiła mi żona, mówiła! I wam się już rewolucji zachciewa! Precz z tradycją, nieprawda? Precz z kościołem, nieprawda? Sprowadźcie odrazu bolszewików do Paryża, głupie sroki!

Zofia zaróżowiła się trochę, bo było jej naprawdę przykro, ale nie chciała dać po sobie poznać, więc zapytała, ciekawa zresztą, co pisze gazeta o ICH sprawie. Ale p. Leblanc oburzył się jeszcze bardziej.

— O WASZEJ sprawie? „L'Aube", moja panno Zofio, głupstwami się nie zajmuje!

Na ulicach już rozlepiono afisze. „Paryżanie! Oto dlaczego midinetki chcą strajku..." Czy rzeczywiście chcą strajku? Należałoby jednak wstąpić do Georges'a, niech by przekonał, tu albo tam, w jedną albo w drugą stronę, aby pozbyć się wkońcu tej niepewności, aby umieć zdobyć się wreszcie na wybór, aby znaleźć drogę, wszystko jedno jaką drogę, ale własną! Wiedzieć, czego się chce! Jakto czego? Takich sukien, jakie robimy dla innych, takich mieszkań, jakie wypracowujemy dla Hernów, takich dzielnic, jakie zajęli turyści tego gorącego, parnego lata, podziwiając Paryż! „450.000 Paryżan opuściło tego tygodnia miasto" — pisały gazety. „270.000 turystów przybyło w ciągu tego tygodnia do Paryża" — pisały gazety. Chodzili sobie spokojnie i beztrosko, fotografowali Łuk Triumfalny i Wieżę Eiffla, wodzili palcami po planach, wertowali przewodniki i bedekery, Skandynawowie, Anglicy, Włosi, Amerykanie, Szwajcarzy, Egipcjanie, Belgowie... Szerokie chodniki Pól Elizejskich zwęziły się o dwa sznury stojących jedna za drugą limuzyn z obcymi znakami rozpoznawczymi. Georges powiedziałby: „Je m'en fiche de LEURS autos", gwiżdżę na ICH auta, i mówiłby o żądaniach pracowników metra lub elektrowni, jak gdyby to powinno interesować pocztowca! Nie, jemu naprawdę nie można ufać bezkrytycznie! To jest fanatyk, czyta wyłącznie „l'Humanité" i chodzi na każdą manifestację, dzisiaj napewno będzie przy SNEMCE, w tamtą stronę przecież przejechali teraz ci policjanci w kaskach i z pałkami... „80.000 hektarów lasów spłonęło w ciągu tego tygodnia w Landes" — pisały gazety. „Nowe zwolnienia z pracy w departamencie Sekwany" — pisały gazety. Przy kioskach ludzie zatrzymywali się na chwilę, czytali tytuły i odchodzili. Dwóch chłopców przystawało przy parkowanych na chodnikach autach i zgadywało litery poszczególnych krajów. CH — Szwajcaria. GB — Wielka Brytania. ET — nie wiedzieli. USA — a jakże, Ameryka!

Kiedy Zofia wychodziła z zebrania natychmiast po głosowaniu, kilka dziewcząt kłóciło się przy drzwiach i hałas panował na sali nieopisany. Jedna z dziewcząt podniosła głos i wołała, że nie będzie się kurwić potem z Amerykanami, by zarobić na życie, a druga uśmiechała się i mówiła: „Z twoim majstrem będzie ci może przyjemniej, jak się skończy sezon". Zofii było właściwie już wszystko jedno, bo i tak głosowała przeciw strajkowi, więc wiedziała, że jej już napewno Hern nie zwolni z pracy, jak pisał. Przedzierała się teraz przez zwarte grupki i nie czekając nawet wyniku głosowania wyszła z zebrania. Na korytarzu były rozlepione afisze rozmaitych związków zawodowych. „My pracownicy wagonów sypialnych nie mogąc znieść dłużej haniebnych warunków..."; „Paryżanie! Właściciele domów eksmitują konsjerżów z mieszkań wykorzystując sytuację, w jakiej..."; „Robotnicy SNEMCI protestują przeciw likwidacji francuskiego przemysłu samolotowego i wzywają..."

Nie zatrzymywała się przed afiszami. „Paryżanie! Oto dlaczego midinetki chcą strajku!" Zofia nie chciała strajku, kto to pisał w jej imieniu i jakim prawem? Georges też będzie zadowolony, gdy przyniesie jeszcze trochę grosza do domu! Za dwa dni — prezentacja. Żeby tylko jeszcze zdążyć dzisiaj do pracy! Sophie Beauchamps, poszukał portier na liście ewidencji. Sophie Beauchamps, pomagał sobie palcem, aha. Bardzo mi przykro, pani jest skreślona. Pani rozumie, te historie teraz i koniec sezonu... Napewno będzie pani miała już list w domu. Ale niech się pani nie martwi, na przyszły rok przyjmą panią napewno z powrotem, będą przecież potrzebowali ludzi!

List leżał pod słomianką, jak zwykle. Jean Hern zawiadamiał z przykrością, że w związku z sytuacją był niestety zmuszony, ale ma nadzieję, że wkrótce znowu, i pozostaje z poważaniem przesyłając wyrazy szacunku. Zofia położyła się na tapczanie i patrzyła bezmyślnie w sufit. Kilka much krążyło wokół zakurzonej lampki i brzęczało. Zmięty papier listu szeleścił w dłoni i denerwował. Georges, co robić, co robić, co robić teraz, przecież ja nie głosowałam za strajkiem!

*

Wiadomość o eksmisji przyszła do państwa Leblanc któregoś dnia poranną pocztą, kiedy pani Leblanc tłumaczyła pannie Zofii (bo pani jeszcze taka młoda!), że takie strajki pomagają tylko bolszewikom, więc i kara choć sroga jest słuszna. Pan Leblanc wrócił na obiad jak zwykle o dwunastej i zabrał się do czytania gazety, kiedy żona pokazała mu bez słowa list. Pan Leblanc tylko wyszeptał ze zdumieniem „nasz właściciel?" i zaczął szybko wertować gazetę. Na pierwszej stronie było sprawozdanie z wielkiej afery trucicielskiej w Louban. Na drugiej reportaż: „Jak uciekłem z syberyjskich kopalni". Na trzeciej program kin i sport. Na czwartej sprawozdanie — „collections": „Nina Ricci proponuje kokieterii kobiecej linię płynną, jak gdyby ożywioną stałą potrzebą ruchu. Na płaszczach wielkie kołnierze fałdują się wraz..." Na piątej wiadomości z zagranicy: Rada Europy, pakt atlantycki, pakt Pacyfiku, sytuacja w Syrii. Potem ogłoszenia drobne.

— Patrz — powiedział pan Leblanc — nie ma ani słowa o naszej sprawie!

„L'Aube" nie zajmowała się głupstwami.

Mariusz Margal

JAN PAPUGA

Wyspy Mórz Południowych

Ogarnął go śmiertelny strach. Chciał uciec od śmierci, gotów walczyć o życie z pomocą swej jasnej, ludzkiej myśli. Zaczął wołać: Swedrup! Swedrup! Jego towarzysz nie odezwał się. Dopadł koi, była pusta. Skoczył zapalić światło. Daremnie przekręcał kontakt. Z opowiadań marynarzy wynikało, że przy torpedowaniach dziewięć razy na dziesięć psuło się światło. Są to tak delikatne połączenia — może skruszyła się żarówka, i tak bywało. Huczało mu w głowie od potężnego grzmotu, jakby detonacja ciągle trwała. Teraz biegał po ciemnej kabinie równie sprawnie, a szybciej niż w jasno oświetlonej. Drzwi były jak zamurowane. Taboretem wybił dolną cienką deskę u drzwi, przerzucił pas ratunkowy, wylazł na czworakach, pobiegł na pokład. Noc była jak gorąca czarna smoła. Nigdzie światła ani ludzkiego głosu. Czyżby wszyscy koledzy zapomnieli o nim — i Swedrup? Nie było żadnego przechyłu, czuł po prostu, że pokład wsiąka w wodę. Pędził po pokładzie, nie było żadnej szalupy ani tratwy. Zdawało mu się, że jest sam na świecie i zaraz będzie koniec tego świata. Nagły przebłysk — popędził do środkowego luku. Długa, ciężka drabina była przywiązana do jego boku. Znów strach: jakże poradzić sobie bez noża? Obmacał węzeł, pociągnął za koniec liny, potem wyciągnął ją z drugiego przełożenia; w drugim końcu to samo. Jak to dobrze, że zamocował ją ktoś, kto nie wiąże knotów, z którymi bez noża nie można sobie poradzić. Może to cieśla albo sam bosman? Podniósł ją teraz i spuścił wzdłuż burty; woda była już blisko; zdawało mu się, że może sięgnąć ręką. Skoczył bez wahania. Położył się brzuchem na szczeblach drabiny i wiosłował dłońmi. Potem siadł okrakiem na dziwnym statku, zadowolony i prawie wesoły, że jeszcze nie koniec, że jeszcze żyje. Statek już chyba wsiąkł w wodę. Wokół cisza bezwietrzna, tylko w powietrzu niósł się szum wody. Wsłuchany tracił świadomość swojego bytu, w tym ogromie wsiąkał powoli jak jego statek. Nagle wybłysł snop światła — najjaśniejszy, jaki kiedykolwiek widział — i kroił noc srebrną smugą. Omiatał szukająco, aż zatrzymał się na szalupie. Za nim leciały świetliste osy, z przeciągłym, ogłuszającym, złym jękiem. Znów cisza, tylko szukające światło kroiło czerń. Pusta szalupa leżała na wodzie bez ludzi. Światło podchodziło do niej. Czerwony, żarzący się pocisk przemknął jak trzmiel, wybłysł, dwa grzmoty zlały się w jeden. To z działa. Szalupy więcej nie było. „Japończycy" — zrozumiał w jednej chwili i zsunął się w wodę, trzymając się ręką drabiny. Potem z tratwami było to samo. W ciągle szukającym świetle srebrzyła się tylko woda, aż i ono zgasło, i znów ogromna, czarna pustka szumiała ciszą. Kiedy zmęczyły mu się ręce, wylazł na swój statek i słuchał. Znikąd żadnego wołania ani jęku.

Przywiązał się pasem ratunkowym do szczebli, na których leżał. Nie był to sen ale drętwota. Rankiem wokół nie widział żadnej deski ani japońskiej łodzi podwodnej, tylko czasem przelatywały mewy. Zrozumiał, że został sam z całej załogi: smutna radość. Powiał lekki wiatr, z nim spłynęły chmury. Słońce wschodziło, piekąc coraz dotkliwiej. Kiedy biały żar piekł za nadto, osuwał się w wodę i chłodził się. Z początku było to prawie przyjemne, później pękała skóra i sól żarła. W ciągu dnia nigdzie nie było widać masztów ani dymu. Może lepiej — tylko z bardzo bliska mogliby go zobaczyć. Pragnienie wysuszyło mu trzewia. Z nastaniem nocy spadła rosa; gdyby był na tratwie albo w szalupie, lizał by ją na deskach. Zmęczony głodem i pragnieniem, siedząc zapadał w sen na kilka minut; potem znów kilka minut cierpiącego majaczenia i znów wszystko rozpływało się w nieświadomości. W końcu trwało to dłużej; kiedy się przebudził, wokół ścielił się oślepiający odblask słońca. Było rano. Tuż koło głowy była ciepła woda, spokojna i nieruchoma. Może już by nie żył, gdyby była fala. Usiadł na drabinie, by obejrzeć horyzont, tak, z jakiegoś nawyku marynarskiego. Rozumowo uważał się za umarłego. Ciągły upływ sił — aż zgaśnie i wsiąknie w wodę, bez żadnych gwałtownych bólów. Tak będzie — z lazurowej wody wychylała się bujna zieleń. Przymknął oczy, majaczenie ciągle dawało mu złudny obraz. Kiedy je otworzył, złuda nie znikała. Ponad zielonymi drzewami widać było góry zasnute mgłą. Zieleń we wszystkich odcieniach, przed nią wąski pasek białego, iskrzącego się piasku. Przed nim lazur wody, gdzieniegdzie marszczący się złotem słońca. Złudny obraz nie znikał. Zrozumiał, że to prawdziwa wyspa leżąca milę od niego. Przez klika godzin wpatrzony w nią spostrzegł, że odległość się nie zmniejsza. Och, gdyby to w pierwszym dniu! Jakże by łatwo dopłynął! Teraz nie czuł się na siłach. Jeśli prąd go nie wyrzuci na brzeg — nie dopłynie. Wydawało mu się, że brzeg się oddala. Zwierzęcy strach wstrząsnął nim, prąd znosił go w pustkę oceanu. Zsunął się z drabiny, nie myśląc o rekinach. Woda zalała mu oczy, ogarnął go niepokój. Znów zobaczył zieleń drzew. Ręce i nogi miał sztywne. Zdawało mu się, że nie powinien opuszczać swojego dziwnego statku, tylko płynąć na nim wiosłując rękoma. To było nie możliwe, na to już nie miał sił. Co innego pływać w wodzie. Potrafił to godzinami, wprost bez wysiłku, najbardziej słabe i miękkie ruchy dawały szybkość. Z radością zauważył, że ręce i nogi straciły dawną sztywność, całe ciało znów nabierało władzy po długim bezruchu. Coraz większy przypływ sił. Miękko ciągnął żabą, nie miał siły na crawl'a. Zdawało mu się, że radosna zieleń wyspy nigdy się nie zbliży.

Tak płynął bardzo długo. Pokazał się biały piasek. Dotknął rękoma płycizny, wypełzł na piasek. Zieleń rozpłynęła się w czerń.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał zwisające liście poszycia dachu, potem smagłą twarz z szeroko rozwartymi oczyma. Przymknął powieki, by się nie męczyć. Śmierć była okrutna; dawała tyle złud; przecież i tak niedługo już wsiąknie w wodę, jak jego statek. Uniósł powieki, jeszcze bliżej widział nad sobą oczy czarne jak noc, smutne, pełne bólu, potem zatlił się w nich uśmiech, miękki i tkliwy. Porwał się, by siąść, lecz zaledwie podniósł głowę — podniosły go krągłe, silne ramiona; jedno go podtrzymywało, drugie podało mu do ust pełne naczynie. Słodki płyn wypił do ostatniej kropli. Troskliwe ramiona ułożyły go. Siedząca przy nim dziewczyna widziała, jak jego niebiesko-stalowe oczy uśmiechnęły się i zwarły w sen. Ogarnęła ją radość. Dziwne oczy: takie mieli tylko ich biali wrogowie, nieczęsto przypływający do wyspy na olbrzymich łodziach bez żagli, pyszni i silni. Ten także był z nich, słaby i nieporadny, jak niemowlę. Wpatrywała się w śpiącego z macierzyńską miłością. Była bezdzietna, choć już miała osiemnaście lat. Jej siostra Niume jeszcze nie ukończyła szesnastu, a już urodziła syna. Była inna niż wszystkie dziewczęta, lubiła samotność. Wychodziła daleko od wsi, siadywała na brzegu, patrzyła w morze i marzyła. Żaden z młodzieńców nie śmiał ją napaść, w obawie przed jej dzielnymi braćmi — Paoni i Taoni. Podczas takiego spaceru znalazła go na piasku. Ożył pod jej dotknięciem. Jak się tu znalazł, skąd się wziął — tego mieszkańcy wyspy nie mogli pojąć. Z pomocą braci przyniosła go do chaty. Kilkakrotnie wlewała mu do ust napój z wyciśniętych owoców, aż po dwóch dniach oprzytomniał. Zadrżała z radości — będzie żył.

Nocą znów się przebudził. Zerwał się i stanął na nogach. Wszystko to było tak dziwne, że zdawało mu się, iż złuda pryśnie i znów zobaczy wokół siebie wodę, a w niej czekającą go śmierć. Tę złudę chciał przełamać, odepchnąć i spojrzeć twardo w rzeczywistość. Dziewczyna podtrzymywała go, wyszli z chatki. Zobaczył żółty księżyc nad czarnymi górami, aksamitne morze połyskiwało srebrem. Mocno zacisnął dłoń na ramieniu dziewczyny.. Opadła mgła złudy. To była rzeczywistość — był uratowany.

Szybko powracał do sił. Dużo jedzenia, najrozmaitsze owoce, leżenie w słońcu i spanie w cieniu, piękność wyspy i morza, troskliwa miłość dziewczyny, radość, radość. Pierwsze słowo niezrozumiałego języka, które pojął było: Hinano, imię dziewczyny. Często wymawiał je do niej, jak mógł najpiękniej, dziękował jej i wyznawał miłość. Była stworzona, by dawać życie i radość. Ona mu dała życie i teraz nie mógł sobie wyobrazić tego życia bez niej. Jakże odrażające były porty z przyległymi knajpami w pobliżu. Wyschłe i chorobliwie tłuste dziewczęta — były zapowiedzią choroby, która na długo wsączała się w duszę. Były obłudne, sprzedajne, ich słodko uśmiechnięte twarze nigdy nie były szczere. Były — jak wódka — zapowiedzią rozkładu i upadku, w którym później trzeba było brnąć, nadrabiać fałszywą miną i twardnieć w szorstkości. Wszystko to pozostało za nim razem z wojną, daleko, jakby na innej planecie. Wojna — cóż go obchodzi, nie daje przecież radości, zresztą

ANATOL FRANCE

Przełożył ADOLF SOWIŃSKI

ELWIRA

CZYLI JAŁMUŻNA TRAFNIE UDZIELONA

13-go października b.r. upłynęło 25 lat od śmierci Anatola France'a, jednego z największych przedstawicieli myśli i literatury francuskiej w ostatnich dziesiątkach lat dziewiętnastego i pierwszych dwudziestu kilku latach obecnego wieku. Urodzony w Paryżu w r. 1844 jako syn księgarza, trafił na sprzyjającą atmosferę dla powstania w nim zamiłowań literackich. Polubił stare foliały, które później miały się stać jedną z głównych namiętności jego życia i uczynić zeń rozległego erudytę. Odbywszy w Paryżu solidne studia, długo nie wyróżniał się niczym na polu publicznym. Został bibliotekarzem i pisywał jednocześnie zwięzłe, informacyjne artykuły do encyklopedyj. Na polu literackim zaczął działać późno, miał bowiem 43 lata, gdy osiągnął swój pierwszy poważniejszy sukces powieścią p.t. „Zbrodnia Sylwestra Bonnard". Dalszą jego sławę ugruntowały takie dzieła, jak: „Thais", „Czerwona lilia", „Historia współczesna" (złożona z czterech powieści: „W cieniu wiązów", „Manekin trzcinowy", „Pierścień z ametystem" i „Pan Bergeret w Paryżu"), „Wyspa Pingwinów", „Bogowie łakną krwi" i autobiograficzna „Książka mojego przyjaciela". Jest ponadto autorem mnóstwa krótszych i dłuższych opowiadań. W r. 1921 otrzymał nagrodę Nobla. Zmarł w 1924 r. pod Tours jako osiemdziesięcioletni starzec.

Anatola France'a można śmiało nazwać powieściopisarzem - filozofem. Samo opowiadanie wydarzeń, sama treść fabularna odgrywa w jego powieściach i nowelach rolę drugorzędną, na pierwszy plan natomiast wysuwają się zagadnienia życia ludzkiego, a więc przede wszystkim zagadnienia organizacji społeczeństwa i związana z tym sprawa szczęścia. Pisząc swe historyczne i współczesne powieści i nowele obyczajowe France dochodzi w pierwszym okresie swej twórczości do stanowiska sceptycyzmu i pesymizmu, nie wierzy, aby udało się pokonać barbarzyństwo i zaprowadzić na świecie sprawiedliwość.

Dopiero w późniejszym okresie przechodzi od krytyki społecznej do tworzenia — na podstawie doświadczeń — pozytywnych wartości życia. Jako metodę postępowania w życiu społecznym obiera naukę i światopogląd demokratyczny. Staje po stronie mas ludowych, walczy z nastrojami wojennymi, pisze całe mnóstwo bojowych felietonów, które naraziły jego poglądy, jego osobę i jego całą twórczość na nieustanne i nie przebierające w środkach napaści ze strony ówczesnej reakcji. „Jestem socjalistą — powiedział o samym sobie — a więc tym samym jestem atakowany przez łajdaków, tchórzów i ignorantów". „Ustrój kapitalistyczny — orzeka gdzie indziej — wytworzył we Francji, tak samo jak na całym świecie, z jednej strony międzynarodówkę ludzi pracy, a z drugiej kosmopolityzm bankierów".

Konsekwencje takiego poglądu na zagadnienia społeczne nie pozostały u France'a jedynie w sferze rozważań teoretycznych. Doprowadziły on do organizacyjnego związania się wielkiego pisarza z wyzwoleńczym ruchem ludowym, pod koniec życia bowiem wstąpił do partii komunistycznej swego kraju. „Jest tylko jedna siła — pisał wtedy — która może w sposób niezawodny, powiedziałbym — naukowy zapewnić pokój światu. To proletariat".

Drukowana na tym miejscu nowela, stanowiąca krytykę filantropii, jest utworem typowym dla społecznych poglądów France'a. Wejdzie ona w skład tomu nowel, przygotowywanego do druku przez Spółdzielnię Wyd. „Książka i Wiedza".

A. S.

Horteur, założyciel „Gwiazdy" oraz naczelny redaktor polityczny i literacki „Przeglądu Narodowego" i „Nowego Wieku Ilustrowanego", przyjął mnie w swym gabinecie i rzekł z głębi redaktorskiego fotela:

— Drogi panie Marteau, proszę napisać powiastkę do specjalnego numeru „Nowego Wieku". Trzysta wierszy na gwiazdkę. Coś żywego, coś z zapaszkiem arystokracji.

Odpowiedziałem, że nie jestem odnośnym specjalistą, przynajmniej w tym sensie, o który redaktorowi chodzi, ale że powiastkę chętnie mu dam.

— Bardzo bym chciał — oświadczył mi wtedy — aby to się nazywało: „Powiastka dla bogatych".

— A ja bym wolał: „Powiastkę dla biednych".

— Tego mi właśnie trzeba. Powiastki, która pobudza bogatych do litości dla biednych.

— Szczerze mówiąc, nie znoszę takich sytuacji, gdy bogaci okazują biednym litość.

— Dziwactwo!

— Wcale nie dziwactwo, lecz pogląd naukowy. Litość bogatego uważam za obelgę dla biednego i za coś sprzecznego z zasadą braterstwa pomiędzy ludźmi. Jeżeli pan zechce, żebym przemówił do bogatych, to powiem im tak: Oszczędźcie biednym waszej litości, bo nie wiedzą, co mają z nią począć. Dlaczego uciekacie się do litości, a nie stosujecie sprawiedliwości? Macie z biednymi rozrachunki. Musicie je uregulować. To nie jest sprawa uczuciowa. To jest sprawa ekonomiczna. Jeżeli to, co im w swej łaskawości dajecie, nie wydobywa ich z nędzy, a wam pozwala nadal żyć w bogactwie, wasz dar jest niesprawiedliwy i sprawiedliwym nie uczynią go łzy, które przy tym lejecie. „Należy restytuować!" — jak powiedział prokurator do sędziego po kazaniu dobrego brata Maillarda. Wy dajecie jałmużnę, aby niczego nie restytuować. Dajecie odrobinę, ażeby zachować mnóstwo — i jeszcze sobie gratulujecie. Podobnie tyran z Samos rzucił swój pierścień do morza. Jednakże Nemesis bogów nie przyjęła tej ofiary. Rybak odniósł tyranowi jego pierścień, znaleziony w brzuchu złowionej ryby. I Polikrates został wyzuty ze wszystkich swych bogactw.

— Pan żartuje.

— Nie żartuję wcale. Pragnę powiedzieć bogatym, że są dobroczyńcami z rabatem i wspaniałomyślnymi zbyt tanim kosztem, że zabawiają się w wierzycieli, chociaż w ten sposób nie załatwia się rachunków. Jest to ostrzeżenie, które mogłoby im wyjść na dobre.

— I pan chciałby wyłożyć taki pogląd w „Nowym Wieku", nie szkodząc poczytności gazety? Nic z tego, mój drogi, nic z tego!

— Dlaczego pan żąda, aby bogaty inaczej postępował w stosunku do biednych niż w stosunku do bogatych i możnych? Tym ostatnim płaci tyle, ile im winien, a jeżeli nie jest im winien nic, to nie płaci im nic. Na tym polega rzetelność. Jeżeli więc bogaty jest naprawdę rzetelnym, niech tak samo postępuje wobec biednych. Ale nie przypuszczam, ażeby chociaż jeden bogacz zdolny był tak myśleć. Wysokość długu uniemożliwia mu decyzję, a poza tym nie ma żadnego przymusu, aby się z tego długu uiścił. Lepiej niczego nie konkretyzować. Wie się, że dług istnieje, nie wie się, jaka jest jego wysokość. Dlatego od czasu do czasu wypłaca się małe a conto. Określa się to mianem dobroczynności — i taki stan rzeczy jest wygodny.

— Ależ, drogi panie, to co pan tu mówi, grzeszy przeciwko zdrowemu rozsądkowi! Sam chyba w większym niż pan stopniu hołduję socjalizmowi, ale myślę zarazem praktycznie. Zaradzić jakiemuś cierpieniu, przedłużyć jakieś życie, usunąć jakąś cząstkę niesprawiedliwości społecznych — oto wszystko, co można zrobić. Ta odrobina dobra, które czynimy, jest czymś rzeczywistym. Oczywiście, że to nie wszystko, ale to już coś. Jeżeli powiastka, o którą pana proszę, rozczuli stu spośród moich bogatych prenumeratorów i skłoni ich do udzielenia komuś pomocy, będzie to jednym z dobrych środków zaradczych na nieszczęście i cierpienie. W ten sposób stopniowo uczynimy dolę ubogich znośną.

— Czyżby o to chodziło, aby dola ubogich stała się znośną? Nędza jest tam, gdzie panuje bogactwo, bogactwo panuje tam, gdzie jest nędza. Te dwie odmiany zła rodzą się jedna z drugiej i jedna podtrzymuje drugą. Nie należy polepszać doli ubogich — należy ją unicestwić. Nie będę namawiał bogatych do dawania jałmużny, ponieważ ich jałmużna jest zatruta, ponieważ jałmużna przynosi ulgę temu, kto ją daje, a wyrządza zło temu, kto ją otrzymuje, i ponieważ — na koniec — nie wolno dopuszczać do tego, aby bogactwo łudziło nas pozorami łagodności, skoro samo w sobie jest twarde i okrutne. Jeśli pan nadal obstaje przy tym, abym napisał powiastkę dla bogatych, to panu powiem tak: „Wasi ubodzy są waszymi psami, które żywicie po to, aby w razie potrzeby kąsały. Pensjonariusze zakładów dobroczynnych to sfora klasy posiadającej, utrzymywana specjalnie w tym celu, aby ujadała na proletariuszy. Bogaci dają tylko tym, którzy ich o to proszą. Robotnicy nie proszą o nic. I nie dostają również nic".

— Ależ sieroty, kaleki, starcy?...

— I ci mają swoje prawo do życia. Wobec nich nie będę wzbudzał litości, ale powołam się właśnie na prawo.

— To są wszystko teorie! Wróćmy raczej do rzeczywistości. Napisze pan dla mnie krótką powiastkę z okazji świąt Bożego Narodzenia. Będzie jej pan mógł nadać ostrze socjalistyczne. Socjalizm jest dzisiaj dość modny. To dystynkcja umysłu. Nie mówię, ma się rozumieć, o socjalizmie Guesde'a, ani też o socjalizmie Jaurésa, ale o socjalizmie przyzwoitym, który ludzie światowi trafnie i rozsądnie przeciwstawiają kolektywizmowi. Niechże pan wprowadzi do swej powiastki postacie młodych ludzi. Zilustrujemy ją, a publiczność lubi przecież, aby osoby, które przedstawiamy jej na ilustracjach, odznaczały się wdziękiem. Niech pan wprowadzi do fabuły młodą dziewczynę, uroczą młodą dziewczynę. To nie jest trudne.

— Tak, to nie jest trudne.

— A nie mógłby pan tak zaprezentować jeszcze kominiarczyka? Mam już gotową ilustrację, wielobarwny sztych, przedstawiający dziewczynę, która daje jałmużnę kominiarczykowi na stopniach kościoła świętej Magdaleny. Byłaby dobra okazja do zużytkowania tej ryciny... Mróz, pada śnieg... Piękna panna daje jałmużnę kominiarczykowi... Czy pan to widzi?

— Owszem, widzę.

— Pan to potrafi upiększyć.

— Potrafię. Porwany uczuciem wdzięczności kominiarczyk rzuca się na szyję piękności, która jest rodzoną córką hrabiego de Linotte. Kominiarczyk całuje piękną i wyciska na jej urodziwym policzku małe „o" z sadzy, ładniutkie „o", okrągłutkie i czarniusieńkie. Kocha ją. Elwira (panna ma na imię Elwira) nie okazuje się nieczułą na uczucie tak szczere i proste... Wydaje mi się, że pomysł jest dość wzruszający.

— Owszem... Da się coś z tego zrobić.

— Ośmiela mnie pan, abym snuł ciąg dalszy... Wróciwszy do swego zbytkownego mieszkania na bulwarze Malesherbes, Elwira po raz pierwszy w życiu odczuwa wstręt przed myciem: chciałaby zachować na policzku odcisk warg, które tego policzka dotknęły. Kominiarczyk przyszedł za nią aż pod dom. W zachwycie stanął pod oknami cudnej dziewczyny... Dobrze tak będzie?

— Oczywiście...

— To snuję dalej. Nazajutrz rano spoczywająca w swym białym łóżeczku Elwira spostrzega, że kominiarczyk wychodzi z kominka w jej pokoju. Tenże kominiarczyk w prostocie ducha rzuca się na roztoszną dzieweczkę i pokrywa ją okrągłutkimi kółeczkami z sadzy. Zapomniałem panu jeszcze powiedzieć, że kominiarczyk odznacza się niezwykłą urodą. Hrabina de Linotte zaskakuje go przy tak słodkim trudzie. Krzyczy, wzywa pomocy. Kominiarczyk tak się zapamiętał, że nic nie widzi i nic nie słyszy.

— Ależ, panie Marteau...

— Tak się zapamiętał, że nic nie widzi i nic nie słyszy. Nadbiega hrabia. To duch szlachecki, chwyta więc kominiarczyka za spodnie na siedzeniu — które znajduje się ściśle na wysokości jego wzroku — i wyrzuca go przez okno.

— Ależ, panie Marteau...

— Streszczam się... W dziewięć miesięcy później kominiarczyk poślubił ową dziewczynę z wysokiego rodu. Był już najwyższy czas. Trafnie udzielona jałmużna miała swoje następstwa.

— Panie Marteau, pan sobie porządnie ze mnie zakpił.

— Zdaje się panu. Już kończę. Poślubiwszy pannę de Linotte, kominiarczyk został szambelanem papieskim i zrujnował się na wyścigach. Dziś jest zdunem i mieszka przy ulicy de la Gaîté na Montparnasse'ie. Jego żona ma sklepik, sprzedaje piecyki żelazne w cenie osiemnastu franków za sztukę, z płatnością w ośmiu ratach miesięcznych.

— Drogi panie Marteau, to wcale nie jest zabawne.

— Proszę się skupić jeszcze na chwilę. To, co tu panu opowiadam, jest w gruncie rzeczy „Upadkiem Anioła" Lamartine'a i „Eloą" Alfreda de Vigny. I — razem wziąwszy — góruje nad waszymi ckliwymi historyjkami, które wmawiają ludziom, że są bardzo dobrzy wtedy, gdy wcale nie są dobrzy, że czynią dobrze wtedy, gdy wcale dobrze nie czynią i że łatwo być dobroczynnym, podczas gdy to w rzeczywistości najtrudniejsza rzecz pod słońcem. Moja powiastka jest moralna. Więcej nawet — jest optymistyczna, dobrze się kończy. Elwira bowiem znalazła w sklepiku przy ulicy de la Gaîté szczęście, którego by daremnie szukała wśród uciech i zabaw, jeśliby poślubiła dyplomatę lub oficera... Drogi redaktorze, czy godzi się pan wydrukować „Elwirę, czyli jałmużnę trafnie udzieloną" w „Nowym Wieku Ilustrowanym"?

— Czyżby pan pytał o to poważnie?

— Pytam poważnie. Jeżeli pan nie reflektuje na moją powiastkę, to ogłoszę ją gdzie indziej.

— Gdzie?

— W jakiejś gazecie burżuazyjnej.

— Jestem pewny, że to się panu nie uda.

— Zobaczymy.

---

tu go nie dosięgnie. Tu jest tylko życie i radość.

Zerwał się z posłania, dziewczyna ujęła jego dłoń i wyprowadziła na dwór, jakby chciała mu pokazać swój świat. Przystanęli. Wyschnięte dachy chat pokryte kokosowymi liśćmi, żółciły się w słońcu. Między nimi snuli się złotoskórzy ludzie. Mężczyźni o potężnych torsach i lędźwiach przypominali mu marynarzy. Kobietom długie, krucze włosy swobodnie spływały na plecy. Wszyscy nosili jednakowy strój, kwiecisty kawałek materii na biodrach. Rozbawione dzieci jak brzuchate aniołki biegały nago, śmiałe i rajsko szczęśliwe. Kury wyfruwały im spod nóg, jakby też brały udział w zabawie. Nawet igrające świnie na łące wyglądały na szczęśliwe — jak ludzie. Trzymając się za dłonie, oddalili się od domów. Był od niej wyższy o pół głowy. Dziewczyna zadzierała swoją buzię, patrzyła w jego oczy: jakże był inny — nawet włosy miał szaro-płowe. Środkiem łąki płynęła struga. Hinano zbierała kwiaty i on to robił, widząc że tym sprawia jej radość. Tak doszli pod stok wzgórza, gdzie rósł las. Rozrzucili pełne naręcza kwiatów i usiedli. Wszystko wokół było nasycone kolorami, nawet powietrze nimi drgało. Dłonie Hinano pracowały zręcznie. Jej maleńkie, złote, smukłe palce wiązały kwiaty. Pierwszy wieniec z pocałunkiem zawiesiła mu na szyi. Utkała nimi swoje krucze włosy, wieńce stroiły jej piersi i biodra. Długo siedział wpatrzony w jej falujące w tańcu ciało. Znów wzięli się za dłonie i poszli do wsi. Obstąpiła ich gromadka dzieci: ich wysokie, ptasie głosy śpiewały im radość. Starzy zatrzymywali się i z zachwytem wpatrywali się w nowożeńców, aż zniknęli w swojej chatce.

Tajał z niego mróz, który przeniknął go pod Grenlandią. Pękał i spadał żelazny pancerz wojny Północnego Atlantyku, czyniący z niego bestię niewrażliwą na ból i śmierć. Był czysty, oczyszczony z brudu śmietnisk portowych. Znów stał się chłopcem, jakim był kiedyś — wrażliwym na śpiew ptaków, piękno ziemi i naiwną radość dzieci. Groza wojny odeszła; nie bał się, że w każdej sekundzie może żywcem spłonąć, lub w pyle krwawym ulecieć do nieba.

Po wyleczeniu się nastąpił koniec jego bezwładu i bezczynności. Z towarzyszącą mu dziewczyną przyglądał się pracy wyspiarzy. Był już tak krzepki, jak oni, starał im się pomagać. Jakże był nieporadny w tych nowych zajęciach!

Po południu wybrali się na spacer. Kobiety, uprawiające pólka, podnosiły się i przyglądały im. Na ich twarzach pojawiały się szydzące uśmiechy. Podobno szeptały w całej wsi: „w kim zakochała się Hinano? — w kalece? Musiał rzucić na nią urok; czyż Warli, który ją kocha, nie jest najpiękniejszym i najdzielniejszym młodzieńcem?". Na brzegu buszowały dzieci, łowiły ryby na wędki. I one już były bardzo zmyślne. Potrafiły z muszli robić haczyki, a miąższ ze środka muszli zakładać na przynętę. Na wodzie kołysały się łodzie; młodzieńcy rzucali sieci. Niektóre dzieci zanurzały się w wodzie bez lęku i płynęły tam. Daleko za łowiącymi, przechodzący nad rafami przypływ perlił się białą pianą. W dali za plecami zielony las, a nad nim nagie skały. By ochłonąć zanurzył się w wodę i płynął do łodzi; chciał pomóc krajowcom ciągnąć sieci. Pływał doskonale. Zdziwił się, gdy zobaczył w pobliżu twarz dziewczyny i krucze włosy rozpuszczone w wodzie.

Co za cudny ludek — myślał — najbardziej radosny, wolny i niezależny na ziemi. Ich wysepka i wody są rajsko bogate. Jedna tylko palma kokosowa przy ich przemyślności dawała im: ubrania, maty, koszyki, miotły, dachy, kosze do połowu ryb. Kokosowy rum na wielkie wydarzenia, zimne mleko. Ze skóry orzecha pletli liny i sieci. Olejek z niego kobiety mieszały z zapachem kwiatów i wcierały we włosy i w ciało, przypisując mu własności lecznicze. To było jedno drzewo, obficie rosnące w gajach, a ileż więcej wokół było bogactwa.

Przed południem przy odpływie, z brzegu widać było wystające zęby raf koralowych. W maleńkich, odciętych jeziorkach podwodne lasy i łąki ścieliły się na powierzchni, a w nich mnóstwo ryb. Nadzy młodzieńcy z wielką zręcznością polowali na nie włóczniami. Jakże był nieporadny i słaby przy ściganiu żółwi. Wszyscy śmiali się z niego, nawet bracia Hinano, Paoni i Taoni — i jego konkurent, Warli. Hinano była naprawdę niemądra — kogo ona wybrała? Ciągle takie języki obijały się jej o uszy. Kochała go tym bardziej.

A Wyspa Mórz Południowych oczarowała go zupełnie. Cóż to było za odurzające piękno, podczas połowu ryb latających, przy pochodniach w korowodzie płynących łodzi. Czasami nocą dwie mile od wsi płonął wielki ogień na wysokiej, rudej skale spadającej stromo w wodę. Z łodzi rzucali sieci i wyciągali na brzeg przy udziale całej wsi. Wtedy nikt nie spał, młodzieńcy wiosłowali z sieciami, potem wszystkie ręce ciągnęły wielki niewód. Tłum kobiet, dzieci i starców przyglądał się ich radosnej pracy. Purpurowe odblaski wielkiego ognia zdobiły noc. Ludzie mieli takie pogańskie twarze w uniesieniu i radości jakby przy swojej modlitwie. Kiedy ściśnięte w niewodzie ryby zaczęły pluskać, tłum huczał podniesionym głosem. Trafiające się olbrzymie ryby — czasami rekin — jak burzące pociski kroiły wodę, grożąc zniszczeniem sieci. Wtedy tłum ogarniało podniecenie. Młodzieńcy zręcznie miotali włócznie i znów ciągnęli sieci. Połów z wielkim ogniem był świętem, biesiadą i zabawą całej wsi. Starsi bardzo dokładnie wypełniali brzuchy pieczonymi prosiętami, kurczętami, yamem, taro, wszelkimi rybami i owocami, zakrapiając to rumem kokosowym. Młodzieńcy podsycali wielki ogień, niektórzy brzękali w gitary, a wszyscy wyglądali dziewcząt. Krzyk starszych i dzieci oznajmiał, że idą. Szły w pląsach, w korowodzie, w spódniczkach z traw i w wieńcach. Korowód dziewcząt sunął w upa-upa. Tłum przyklaskiwał w takt ukulele i nucił melodie. Taniec Hinano był piękny. Kiedy pojawiała się w pobliżu młodzieńców, dłonie ich same składały się do oklasku.

Był nią urzeczony. Stał słaby, w radosnej niemocy. Ocknął się, kiedy oplotła mu szyję. Wzięli się za dłonie i szli do swojej chatki. Huczące głosy wzbiły się w noc. To tłum żegnał swoją kochanicę, Hinano. Warli widząc ich odchodzących, skręcał się w bólu. Chciał zabić obcego przybłędę, potem usiłował wsiąść do łodzi i więcej nie wrócić. Taoni i Paoni całą noc mieli nad nim pieczę.

Mijały miesiące. Jak zwykle marynarz, znów musiał się uczyć nowego języka. Hinano była doskonałą nauczycielką. Szybko przyswajał sobie jej prosty język. Przyglądał się jej wargom i wsłuchiwał się w melodyjne dźwięczenie, potem swój twardy głos starał się upodobnić do jej głosu. Znów zmieniło się jego imię. Z André pozostała dźwięczna końcówka Drey — tak krajowcom było wygodniej, chociaż on sam by wolał, by go nazywali Andrzejem. Szybko teraz poznawał ich zwyczaje i myśli. W zajęciach ciągle był nieporadny; tak mu się przynajmniej wydawało. To idylliczne życie rozdarła straszna wieść. Połowa ich stada, w tym wiele kóz i świń, została uprowadzona przez ludzi z gór. Wszyscy byli przerażeni, ludzie z gór byli dzikimi wojownikami. Zabili trzech młodzieńców pilnujących stad. W swoich górskich lasach byli niedosiężni dla ludzi z pobrzeża. Coraz częściej odbywały się zabawy przy wielkim ogniu na wysokim brzegu kończące się orgiami. Rum i piwo kokosowe pili wszyscy, jedni dla dodania sobie odwagi, inni, by zapomnieć o ludziach z gór. Zawsze powstawały bijatyki o najbłahsze rzeczy. Wielkim i radosnym wydarzeniem dla krajowców było pojawienie się rano angielskiego szkunera, stojącego na kotwicy niedaleko wysokiego brzegu. Powód tej radości Andrzej szybko sobie uświadomił, kiedy wysokie góry orzecha kokosowego zaczęły znikać w lukach szkunera. Zajęci przy tym byli wszyscy młodzieńcy. Wesoło podrzucali z rąk do rąk wielkie piłki, posługiwali się koszami i workami; inni wiosłowali; na morze wyprowadzono wszystkie łodzie. Na ląd zszedł do miejscowego króla kapitan ze swoim oficerem. Mieli na sobie najlepsze uniformy śnieżnej białości. Potem snuli się po wsi marynarze, tylko w spodniach roboczych i w hełmach, uganiając się za dziewczętami. Wszyscy przyjmowali to pobłażliwie: tak nakazywała gościnność. Następnego dnia kiedy luki i pokład były już zapełnione, zastawiono pożegnalną biesiadę. Krajowcy byli dziecinnie i radośnie podnieceni. Anglicy zachowywali się z wyniosłą ironią, widząc króla wystrojonego w szkarłatną piżamę i hełm korkowy — ich podarek. Dziewczęta oglądały kolorowe grzebyki, kobiety — maleńkie szmatki perkali i kretonów. W czasie zabawy krajowcy zaaprowiantowali szkuner górami żywności, kurami i świńmi; potem szkuner wciągnął żagle i oddalił się.

Andrzejem wstrząsnął gniew na widok tej grabieży. Podobno król dostał jeszcze garść brzęczących szylingów, którymi nie dzielił się z nikim. Zgrzybiały skąpiec był niezwykle uradowany piżamą. Andrzej nie rzucał się w oczy marynarzom, zato teraz ciągle przebywał z krajowcami, wymykając się spod troskliwej opieki Hinano. „Ohydna grabież dzieci" — nie przestawał myśleć. Po białych został jeszcze jeden prezent — wódka. Po niej niektórzy byli chorzy i wyglądali jakby mieli umrzeć, inni wpadali w szał, strasząc własne rodziny. Andrzej spostrzegł teraz, że i ten ludek, który wydawał się rajsko szczęśliwy, miał swoje biedy. Kobiety, które potraciły mężów, były bardzo biedne, nikt nie troszczył się o ich dzieci. Bywało, że i starcy przymierali głodem. Oni to wspominali dobre czasy, kiedy jedna czwarta wszystkich zbiorów i połowów szła na nich i na kobiety bez mężów. Dzieci wtedy były pod opieką, jakby własność wszystkich. Pólka nie były podzielone, kobiety szły na nie do pracy razem z całej wsi i ze śpiewem. Teraz zapędzał je tam głód, każdą smutnie, oddzielnie. Rada starszych nie miała na nic wpływu, nie istniała. Młodzi byli zaprzątnięci zabawami i pijaństwem. Nie było we wsi takiej więzi wspólnej, jak przedtem. Ich królik w zetknięciu z białymi bywał przerażony swoją głupotą i uległy, gdyż tylko biali dawali mu złudę władzy. Stare tradycje były zapomniane. Każdy starał się o siebie, nikt go nie słuchał. Więcej bali się Anglików, ale przecież nosili dla nich orzechy kokosowe i rafie z połowów, dlaczego więc mieli słuchać króla? — tak, gaje palmowe należały do białych, i rafia, częściowo i ich pólka, i oni sami. Starcy mówili, że kiedyś było inaczej. Nie napadali ich ludzie z gór. Był jeden król na tych wyspach i nie było nienawiści. Anglicy utrzymywali ich w waśni, a jednocześnie nie dopuszczali swoim terrorem do otwartej wojny plemiennej. To był ich sposób rządzenia. Kiedy była wspólnota, starcy dożywali swojego wieku w dosycie i spokoju. Tylko orkan nabawiał ich biedy, roznosił ich chaty, łamał pokotem gaje palmowe i rozbijał łodzie. To się trafiało raz za życia każdego. Starcy mówili, że odkąd przyszli biali wszystko idzie na gorsze; niekiedy mówili do Andrzeja: „i ty nas nabawisz nieszczęścia, lepiej byś się utopił, biali przynoszą tylko biedę".

Gdy myślał o tym wszystkim, ów szczęśliwy raj, w którym się znalazł, przestawał być rajem. Złudne piękno wyspy było skażone; jego miłość z Hinano była również zagrożona. Chciał się bronić, podświadomie już się buntował. Sam nie wiedział, że już tak zupełnie czuł się krajowcem. Przez kilka dni trwał w samotności, nawet Hinano nie mogła go pocieszyć w jego smutku. Zrozumiał, że jeśli cokolwiek będzie czynił, musi żyć z tymi ludźmi. Muszą go uważać za przyjaciela. Stale żeglował i łowił ryby z krajowcami. To mu najwięcej odpowiadało. Był przecież doskonałym marynarzem. Na tych maleńkich, lotnych łodziach ustępował im. Nie miał ich ptasiego wyczucia wiatrów, rybiego instynktu wody. Nie był w żeglowaniu najlepszy ani najgorszy. Młodzieńcy teraz inaczej się do niego odnosili. Baby nie śmiały się z Hinano. Kiedy wracał z połowów, Hinano czekała na niego z jedzeniem, jak prawdziwa kobieta na prawdziwego męża.

JADWIGA SIEKIERSKA

JESZCZE O POZNANIU

W związku z festiwalem poznańskim dużo spraw wymaga jeszcze omówienia. Zastanówmy się jednak nad tym, wokół czego toczyła się walka w Poznaniu.

STARE MELODIE NA NOWEJ NUCIE

Walka klasowa w dziedzinie ideologicznej, a przede wszystkim w sztuce wielu jeszcze wydaje się czymś sztucznie doczepionym. A jednak impreza poznańska była w pewnym sensie poglądową lekcją tej walki o bogatej skali wyrazu — walki świadomej i nieświadomej, celowo skierowanej przeciw nowym treściom ideowo-artystycznym, bądź też obiektywnie, może nawet wbrew woli swych rzeczników, będącej wyrazem tendencji zachowawczej.

W historii walk klasowych między kulturą kapitalizmu, a powstającą kulturą socjalistyczną działa oddawna wypróbowana broń ideowa w ręku wrogów socjalizmu. Przedstawiciele ginącego świata nie od dziś stosują mistyfikację, przywdziewają maski, zaszczepiają złudzenia — zdobywając poklask wśród ofiar swego wychowania, wśród ludzi karmionych złudzeniami na temat o „wolności" twórcy, „czystej" sztuki, „ponadklasowego" humanizmu. Na Zjeździe Poznańskim w toczących się dyskusjach również padały głosy w obronie tych złudzeń.

Słyszeliśmy, że w sztuce forma mówi o historii epok, a nie zawartość treściowa dzieł sztuki. Słyszeliśmy również o tym, że plastyka i muzyka należą do sztuk „bezpojęciowych" i że treść w plastyce i muzyce to skojarzenia psychiczne odbiorcy, zmienne, indywidualne. Forma zaś jako układ elementów dźwiękowych czy elementów optycznych — jest istotna i nieprzemijająca.

Z tego stanowiska plastyka i muzyka jako sztuki „bezpojęciowe" nie odzwierciadlają nic obiektywnego, ani stosunków ludzkich ani ludzkich uczuć i myśli czy zjawisk życia — i w tym właśnie tkwi idealizm.

Sztuki te jedynie przez układ dźwięków i barwnych plam pobudzają do skojarzeń psychicznych, ale zawieszonych właściwie w próżni ideowej i społecznej — to jest właśnie formalizm.

Przez oderwanie sztuki od życia, formy od treści niepodobna jednak wytłumaczyć źródła głębszych przeżyć i wzruszeń, które w człowieku wywołuje dzieło sztuki.

Wiadomo, w jak wielkim stopniu muzyka, pieśń potrafi mobilizować uczucia ludzkie, stwarzać nastrój, i to bardzo określony nastrój, jednoczący ludzi w jednym wspólnym porywie. Jest nader wątpliwe, aby interpretując muzykę jako „układ elementów dźwiękowych" można było wytłumaczyć jej siłę emocjonalnego oddziaływania. Żaden doskonały układ dźwięków i barw nie wywoła żadnych wzruszeń, jeżeli nie potrafi wyrazić treści życiowo bliskich człowiekowi.

Goethe powiada o „bezpojęciowej" sztuce plastycznej w rozmowie z Eckermannem: „Wszelki talent zejdzie na marne, jeśli temat nic nie jest wart".

O NOWEGO AKTORA

W tym sensie ciekawą była dyskusja, dyskusja bardzo zasadniczą, w sekcji teatralnej. O co toczył się spór? Powiedzmy krótko: o nowego aktora i o nowe oblicze teatru przeciw zwolennikom starych konwencji teatralnych i tradycyjnego sposobu kształcenia aktora. To znalazło wyraz w dyskusji nad zapowiedzianą reformą szkolnictwa teatralnego. Poza istniejącymi wyższymi szkołami aktorskimi i teatralnymi przewidziane jest powołanie do życia studiów aktorskich przy teatrach, które potrafią zapewnić odpowiedni poziom nauczania. Studia teatralne zdały egzamin życia w ZSRR. Obok 14 wyższych uczelni teatralnych i filmowych — liczne i doskonałe kadry aktorskie kształcą się tam w 108 studiach teatralnych.

Dzisiejszy stan wyższego szkolnictwa teatralnego w Polsce ani ilościowo ani jakościowo nie może zaspokoić wciąż wzrastających nowych potrzeb naszych teatrów. Szkoły aktorskie wraz z nowoprzyjętymi w tym roku słuchaczami mają najmniejszy procentowo (zaledwie kilkanaście procent) skład młodzieży robotniczo-chłopskiej. Te cyfry mówią same za siebie.

Dlatego studia teatralne powinny szerzej otworzyć dostęp nowym warstwom najzdolniejszych z ruchu amatorskiego, działaczom kulturalnym rozmiłowanym w teatrze, ludziom pracy mającym nerw aktorski ale z wieku czy wskutek innych przeszkód nie trafiających na naukę do wyższej szkoły aktorskiej.

Inaczej mówiąc, chodzi o wychowanie aktora, który by korzeniami tkwił w dzisiejszym nowym życiu, któremu by ono nie tylko rozumowo, ale uczuciowo było bliskie, swojskie. Stąd konieczna poprawa składu socjalnego w szkołach teatralnych, stąd nadzieje pokładane w studium teatralnym, do którego łatwiej niż do wyższych szkół trafią nowe warstwy.

I właśnie zapowiedź tych studiów przy teatrach wywołała wśród części starych aktorów, reżyserów i pedagogów gwałtowną reakcję — sprzeciw, w obawie przed obniżeniem poziomu. Przeciwnicy reformy, ściślej studiów, albo ci, co odnoszą się do tej sprawy z rezerwą — uważają, że niski poziom fachowy aktora to dziś główne niebezpieczeństwo dla przyszłych losów teatru.

Wyraźne echo tych nastrojów słyszeliśmy podczas dyskusji w sekcji teatralnej. Słyszeliśmy, że zdecydowana większość aktorstwa polskiego gra dziś bez dostatecznych kwalifikacji, że słowo — gest — ruch, podstawy gry aktorskiej są w zupełnym zaniedbaniu, tym bardziej groźnym, że młodzież z „dołów społecznych" nie ma w ogóle poszanowania dla słowa.

Niewątpliwie, spora ilość aktorów w Polsce wykonuje swój zawód bez dostatecznych kwalifikacji (bo szkolnictwo nie nadąża za wzrostem potrzeb), ale niewątpliwe jest również, że teatr polski posiada pokaźny zespół aktorów starszego pokolenia o wysokiej klasie gry i sporo młodych, dobrze zapowiadających się talentów. Nie w tym więc trzeba szukać istoty poważnych jeszcze niedomagań naszego teatru. Nie brak talentów, kwalifikacji i poszanowania dla słowa, gestu i ruchu są główną przyczyną tego, że pewne sztuki repertuaru radzieckiego, klasycznego czy współczesnego o dużym ładunku treści ideowo-społecznych nie zawsze bywają słusznie interpretowane, wykonywane i nie zawsze pełnią swej treści przemawiają do widza.

Ciekawe, że ci biadolący nad kryzysem aktorstwa polskiego nie dostrzegli... słonia. Właśnie tego, że zbyt powolna ewolucja ideowa, uczuciowa wielu ludzi teatru nie dotrzymujących jeszcze kroku głębokim przemianom naszego życia — czyli brak nowych wewnętrznych treści leży u podstaw pewnego niedorozwoju naszego teatru i szkolnictwa teatralnego, ich nienadążania za potrzebami życia.

Zapowiedź przedłużenia studiów w szkołach teatralnych do czterech lat (zamiast trzech jak obecnie) projekt założenia akademii teatralnej i wreszcie możliwość dla każdego kończącego studium teatralne uzupełnienia swej nauki w wyższej szkole aktorskiej — świadczy o płonności strachów przed „obniżeniem poziomu" aktora.

Subiektywnie — część przeciwników reformy szkolnictwa teatralnego kierowała się niewątpliwie szlachetną intencją, troską o wysoki poziom gry aktorskiej. Obiektywnie zaś — formalistyczna obrona „poziomu" jako kunsztu słowa, gestu, ruchu, łącząca się z obawą przed społecznie nowym typem aktora, jest obroną ze starych pozycji klasowych elitarnej szkoły aktorskiej.

To też dyskusja teatralna, niezależnie od tego, czy uświadamiali sobie to wszyscy uczestnicy dyskusji — była też objawem walki klasowej.

NIEPOKOJE I KŁOPOTY PLASTYKÓW

Źle się dzieje z plastyką u nas — przeżywamy w tej dziedzinie kryzys. O tym się mówi powszechnie. Dużo kłopotów i trudności sprawia fakt, że ludzie uważający się za postępowych, jak grupa krakowskiej awangardy, bronią pozycji abstrakcjonizmu i formalizmu w malarstwie, czego dowodem były wielosłowne i dość mętne sentencje, które wyczytałam na wystawie plastycznej w Poznaniu (Kraków — prace uczniów prof. Kantora).

Ale spór z prof. Kantorem, z jego praktyką i teorią zawiódłby nas w tej chwili zbyt daleko. Przyjrzyjmy się dyskusji w sekcji plastycznej, jej akcentom charakterystycznym. Przede wszystkim czuło się duży wysiłek i chęć zrozumienia, w czym jest błędność dróg plastyki polskiej, jak trzeba rozumieć formalistyczne zboczenie i jak wejść na drogę realizmu socjalistycznego. Zatrzymam się tylko na jednym, ale nader istotnym zagadnieniu poruszanym w dyskusji.

Czy sztuka odtwarza czy tworzy życie, czy realizm socjalistyczny kładzie większy nacisk na odzwierciadlenie życia w sztuce czy też na przekształcenie życia przez sztukę, czy wydobycie ideału czy też prawdy — jest istotnym zadaniem sztuki.

W tym jak gdyby zaczarowanym kole pozornie przeciwstawnych sobie tez toczyła się dyskusja.

Słusznie się mówiło, że artysta maluje nie tylko to, co widzi, lecz i to o czym wie, co stanowi treść doświadczeń jego życia — ale niesłusznie dostrzegano w tym ograniczenie realizmu.

Słusznie się mówiło, że plastycy przeżywają dziś „kryzys wyobraźni" — ale niesłusznie zapominano, że ów kryzys wyobraźni jest wyrazem kryzysu ideowego, politycznego, czego nawet często nie uświadamiają sobie nasi artyści.

Słusznie się mówiło, że realizm socjalistyczny musi wyrosnąć na tle najlepszych tradycji w plastyce polskiej — ale niesłusznie i z dziwną rezygnacją w głosie mówiono o konieczności amputacji formalizmu, widząc w tym nie obiektywną rację, nie szerokie perspektywy dla rozwoju sztuki polskiej, ale jakąś fatalną konieczność płynącą poprostu z tego, że ustrój „oparty" na materializmie dialektycznym nie da się pogodzić z formalizmem. W tym „ostrożnym" sformułowaniu słyszało się jak gdyby odgłosy mniej ostrożnych demagogicznych wypowiedzi, że formalizm jest tępiony, bo rząd „pragnie" realizmu.

W tych wszystkich rozważaniach brakowało, i to bardzo widocznie, dialektyki. Cały dylemat — czy sztuka ma odzwierciadlać życie czy też je tworzyć, stałe przeciwstawianie jednego drugiemu — powstał z braku elementarnej wiedzy i nawyków do dialektycznego sposobu myślenia. Trudno tu nie przytoczyć wypowiedzi Engelsa na podobny temat: o roli „podstawy" i „nadbudowy" i niezrozumienia ich wzajemnego stosunku przez niektórych pseudomarksistów: „Wszystkim tym panom brak przede wszystkim dialektyki. Widzą oni zawsze tylko tu przyczynę, tam — skutek. Nie widzą zupełnie, że jest to pusta abstrakcja". Parafrazując tę myśl Engelsa można powiedzieć, że jeżeli życie jest „przyczyną" a sztuka „skutkiem", to „skutek" może również oddziaływać na „przyczynę", że jest to proces wzajemnego oddziaływania, jak dalej czytamy u Engelsa.

Im prawdziwiej, im trafniej i głębiej nasza sztuka będzie odtwarzać życie, tym większa będzie również jej siła przeobrażania rzeczywistości.

Czyż dzieła Rembrandta nie są wyrazem najgłębszego, wzruszającego humanizmu przemawiającego do nas także dziś poza granicami jego kraju i jego epoki? Ale właśnie stąd płynie sugestywna siła Rembrandta, że tchną one konkretnie historyczną prawdą jego czasów, prawdą życia jego narodu. To czyni humanizm Rembrandta twórczą i do dziś dnia żywą siłą. Zrozumienie roli sztuki jako odtwórczyni życia i jednocześnie jako siły przeobrażającej życie — wymaga przeanalizowania tej sprawy na kokretnym materiale sztuki polskiej i światowej. Abstrakcyjne rozważanie — czy sztuka odtwarza czy tworzy życie, pozostawia ten spór w ślepym zaułku.

POSTAWA MŁODZIEŻY

Obok gorących dyskusji w sekcjach pedagogicznych odbywały się nie mniej gorące dyskusje na konferencji młodzieżowej. Dużo było zbieżnego w tych dyskusjach, jak również dużo odrębnego.

Obok zagadnień ideologiczno-artystycznych, zagadnień formalizmu, realizmu — młodzież trapiły kłopoty organizacyjne, kwestie dotyczące usprawnienia pracy licznych organizacji młodzieżowych, trudności materialne, zagadnienie burs i odpowiednich pomieszczeń dla szkół artystycznych, pracujących nieraz w ciężkich warunkach, zupełnie nie przystosowanych do potrzeb nauki.

Ogólnie charakteryzując dyskusję młodzieżową trzeba stwierdzić, że cechowała ją rzeczowość, poczucie odpowiedzialności za przyszłe losy sztuki polskiej i młodzieńczy gorący stosunek do poruszanych zagadnień ideowych i spraw reformy szkolnictwa artystycznego.

Myślę, że dyskusja ta była również zdrowym zastrzykiem przeciw złej rutynie, oschłości, używaniu sloganów, które tu i ówdzie dają się zauważyć w przemówieniach, w manierze bycia pewnych aktywistów ZAMP-u.

Ponadto w pracach studenckiej sekcji historyków sztuki, w szeregu ciekawych referatów z problematyki polskiej historii sztuki młodzież nasza ujawniła dużo samodzielności w teoretycznych dociekaniach, w przewartościowaniu dotychczasowego dorobku historii sztuki polskiej, w poszukiwaniu słusznej metody badań, w próbach, choć jeszcze niedojrzałych, analizy marksistowskiej. Jest rzeczą ważną, żeby nie uronić cennego dorobku, nie osłabić obudzonego w Poznaniu ruchu myśli i twórczego zapału, żeby zacząć planowo realizować zapowiedziany dalszy rozwój reformy szkolnictwa artystycznego.

Jadwiga Siekierska

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Maksymilian Meloch. Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym. Wydanie drugie. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, (1948) str. XVIII i 212 i 2 nl.

„Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym" wydana była po raz pierwszy w r. 1939. Jest to praca doktorska młodego historyka, który zginął w dwa lata później bez śladu wśród chaosu wydarzeń wojennych. W tej najobszerniejszej z dziejopisarskiej spuścizny Melocha pracy przedstawił autor koleje reformy włościańskiej w okresie powstania listopadowego, reformy, która zresztą pozostała tylko projektem, nie wcielonym w kształt rzeczywistości.

Dla nadania tła rozwiniętemu w książce tematowi, cofa się Meloch dość daleko w głąb XVIII w., obrazując stan sprawy chłopskiej w Polsce przed — i porozbiorowej. Pomysły i plany reformy, podjęte przez radykalnych przywódców powstania, były zresztą skromne i nieistotne; obejmowały jedynie zamianę systemu pańszczyźnianego na system tzw. oczynszowania chłopów w dobrach narodowych z pominięciem wszelkiej myśli o uwłaszczeniu włościan i przyznania im pełni praw obywatelskich.

Losy tej reformy, debatowanej w sejmie powstańczym, określane były przebiegiem wypadków wojennych. W momencie niebezpieczeństwa, po bitwie grochowskiej, sejm zajął się projektem reformy, zresztą bez udziału posłów konserwatywnych, którzy usunęli się z Izby; później gdy sytuacja militarna przejściowo się poprawiła, poniechano projektów reformatorskich. Tym sposobem, co może się wydać paradoksalne, sukcesy orężne nie przybliżyły, lecz oddaliły wykonanie aktu rozumu politycznego i sprawiedliwości społecznej.

„Siła rewolucji listopadowej — pisze słusznie Meloch w przedmowie do pierwszego wydania — zależała od układu i stosunków wewnętrznych, w których rolę dominującą odgrywała sprawa włościańska..." Niestety, tę sprawę uświadomiono sobie dopiero po upadku powstania. A w jego toku, jak wynika z rozważań autora książki, sprawa chłopska uległa zaostrzeniu, przedział socjalny między szlachtą a chłopstwem stał się jeszcze wyraźniejszy i groźniejszy niż poprzednio.

W bardzo rzeczowym słowie wstępnym do drugiego wydania książki prof. Natalia Gąsiorowska scharakteryzowała po krótce twórczość dziejopisarską Melocha, zatrzymując się dłużej na ostatniej jego pracy — „Sprawie włościańskiej".

Niezależnie od krytycznych w stosunku do niej zastrzeżeń, prof. Gąsiorowska podkreśla „dynamiczne ujęcie przedmiotu", „potraktowanie sprawy włościańskiej łącznie z tendencjami kapitalistycznymi w rozwoju rolnictwa" i „oparcie stosunków żywiołów powstańczych, a więc szlacheckich, do reformy chłopskiej oraz stosunku chłopów do powstania — na gruncie ekonomiczno-społecznym okresu poprzedniego". Są to zalety kapitalnej natury, które podnoszą i utrwalają obiektywną wartość książki Melocha.

bd.

Minęła pora deszczowa. Andrzej wciąż żeglował i myślał. Nie, nie pozwoli, by z tych ludzi łupili skórę i żeby ich tyranizowali. Żegluga z braćmi Hinano poddała mu wielką myśl. Łódź trzymała się dobrze na wysokiej burzliwej fali, dawali sobie również dobrze radę z przechodzącymi ostrymi szkwałami. Dlaczego nie mieliby żeglować ci urodzeni marynarze po tych bezkresnych morzach? Dawno już przeczuwał, że jego poczynania stąd właśnie wyjdą. Serce mu biło szybciej, zalewała go fala radości. Porwie ich do wielkich czynów i usamodzielni. Wielka żegluga, przecież to możliwe! Ci ludzie nie spadli tu z deszczem na te odległe wyspy, a ich praojcowie przyżeglowali tu w zamierzchłych czasach, na jakże prymitywnych łodziach. Byli odważni; ich synowie są również odważni. Trzeba rzucić tylko myśl, a podejmą ją sami.

Dość łatwo przekonał i pociągnął za sobą braci Hinano, Taoni i Paoni. Gorzej było z Warli, nie chciał przyjść do chaty Hinano, a bez jej pomocy Andrzej nie mógł się obejść: za skąpy był zasób jego słów. Tylko ona rozumiała jego niedołężne słowa i odgadywała myśli. Była tłumaczem. Siedzieli w gromadce na wysokim brzegu. Warli był wrogi wobec zamierzeń Andrzeja. Ten kaleki przybłęda śmiał siedzieć przy nim wraz z dziewczyną, którą uwiódł, a która miała być jego — i teraz mówi o wielkiej żegludze? — to było okropne. Bez Warli rzucona myśl nie mogłaby zostać urzeczywistniona. Cieszył się sławą najdzielniejszego młodzieńca. Tylko on mógł pociągnąć za sobą młodych i przekonać radę starszych. Miał także garść dużych, czystych pereł wysokiej wartości. Kiedy się już skrycie radował, że przeszkodzi Andrzejowi, wystąpiła Hinano. Twarz jej płonęła miedzią, oczy błyszczały. Nazwała Warli tchórzem i wrogiem ludzi, do których należy; jeśli on się boi, to ona popłynie. Warli zerwał się, jakby go przypiekł ogień. Hinano nie spuściła z niego oczu, w których miała dla niego tylko uśmiech pogardy. Jej bracia patrzyli na niego z niesmakiem i wrogością. Tak się rozeszli.

Następnego dnia Hinano sama poszła do Warli. Widziano ich, jak całe popołudnie rozmawiali z sobą na brzegu. Po tej rozmowie Warli z żywością oznajmił im, że jedzie.

Rozpoczęto przygotowania; Warli brał w nich najżywszy udział. Przekonał radę starszych i dobrał młodzieńców. Wybrał dwie największe łodzie. Pod jego okiem opatrywali je, zakładali nowy takielunek. Dali im największą sprawność i moc na złą pogodę. Potem pieczono prosięta i znoszono owoce.

O wschodzie słońca wciągnięto żagle. Na każdej łodzi było po pięciu młodzieńców. Jedną dowodził Warli, a drugą Andrzej, mając przy sobie Paoni i Taoni. Cała ludność wioski skupiła się na wysokim brzegu. Tłum był w jakimś uroczystym, religijnym nastroju. Nawet dzieci nie hałasowały, starców ożywiała dostojna radość. Znów czuli się Polinezyjczykami. Wielka żegluga była żywiołem ich ojców; choć w niej ginęli, nie mogli żyć bez niej. Czy tych dziesięciu najdzielniejszych wróci? — pytali starzy. Czuli mrowie krwi pod skórą, jak młodzi. Jeśli nie wrócą, długo będą na ustach wszystkich, ich śmierć będzie śmiercią mężów, a nie ośmieszonych, zgrzybiałych starców. A jeśli wrócą — wtedy ich radość będzie radością wszystkich, nawet każdego dziecka. Tak przystało na prawdziwych Polinezyjczyków. Młodzieńcy, którzy zostali, będą się wstydzić. Tłum przyglądał się jak dwie wielkie łodzie żeglowały w świeżym, rannym, zachodnim passacie, w roju mniejszych łodzi. Szły w przeciwną stronę słońca, do wielkiego osiedla kolonistów francuskich, dla korzystniejszych wymian, do wysp, o których wiedział tylko biały Drey.

Niektóre łodzie płynęły już do brzegu. Inne towarzyszyły jeszcze wyprawie. W jednej z nich była Hinano; podpłynęła do dużej łodzi, gdzie był Drey; żegnali się. Warli szedł pierwszy, coraz ostrzej stawiał wielki żagiel do wiatru, goniąc własną śmierć lub sławę. Teraz za nim ścigle kierował Drey; Hinano odpłynęła. Długo patrzono z brzegu aż szare punkciki znikły za horyzontem.

Warli ciągle pędził pierwszy. Andrzej patrzył na słońce, porównywał kierunek; płynęli po jego myśli. Mapy miał w głowie, jak prawdziwy marynarz. Każdej wachty zaglądał do kabiny nawigacyjnej, by znać pozycje. On to wytyczył drogę i zaznajomił z nią krajowców. Często myślał, że gdyby się tak stało, iż musiałby zaprowadzić statek do portu, potrafiłby zaprowadzić do każdego portu na kuli ziemskiej. Przyszła noc. Na ciemno granatowym niebie wznosił się żółty księżyc. Krzyż południa płonął czerwono, Orion jaśniał czysto. Łodzie płynęły blisko siebie w srebrzystej poświacie. Wiał orzeźwiający, chłodny passat. Żarzące się gwiazdy jak pochodnie przyświecały i wskazywały kierunek. Czasami płynęli tak blisko, że krajowcy rozmawiali z sobą z łodzi do łodzi. Potem Warli ze swoimi ludźmi śpiewał tęskliwie z żarem, jakby błagał niebo i ziemię o pomoc w podróży. Pędzili bez wypoczynku — według słońca i gwiazd. Krajowcy, jak przystało na Polinezyjczyków, byli teraz w swoim żywiole. Wystarczyło im trochę snu na twardym dnie łodzi, by znów odzyskać niespożytą siłę. Wyminęli kilka wysp. Czwartej nocy zaskoczyła ich burza termiczna. Łodzie zgubiły widoczność między sobą. O pomocy nie było co myśleć. Każda łódź była zdana na siebie. Pierwsze uderzenie burzy było straszliwe. Na linie wyrzucili za burtę szeroką deskę z podłogi, to była ich dryfkotwa. Suchy maszt bez wielkiego żagla ginął w czarnej nocy. Przez dziób przelatywały wielkie fale. Łódź napełniała się wodą po burty; pływała jak korek. Ciągle wylewali wodę i ciągle zalewała ich nowa. Błyskawice blisko nich cięły czarne niebo. Przez sekundy wszystko stawało w ogniu, woda i niebo płonęły. Rano burza przeszła; pozostała po niej wielka zmierzwiona fala spieniona na czubach. Jeden z krajowców zobaczył łódź o jakie dziesięć mil. Punkcik żagla pokazywał się i znów zapadał w otchłań. Płynęli pod zdryfowanym do połowy żaglem. Groziło im wywrócenie. Krajowców wyłażących na przeciwwagę zmywało. Nie pomogło tu trzymanie się sztagu i balansowanie całym ciałem. Wtedy Taoni przywiązał się liną do belki. Za nim robili to wszyscy. Andrzej prychał i krztusił się wodą. Całe niebo było zasnute szarą powłoką z chmur i nie można było się nawet domyśleć, gdzie jest słońce.

Krajowcy swoim ptasim czuciem trafiali między silniejszymi podmuchami szkwałów na równe tchnienie passatu i tak znajdowali kierunek. Łodzie znów się spotkały. Nikogo z załóg nie brakowało. Krajowcy znów radośnie wołali do siebie poprzez huk wichru i fali. Żegluga była teraz powolna, wyczerpywała wszystkie siły. Skończyła im się żywność i nie pokazywały się wyspy. Tylko Andrzej był pewien, że tu musiały być. Przy normalnej pogodzie napewno by je ujrzeli. Krajowcy byli zdani na niego, niektórzy mu ufali, inni gotowi byli umrzeć. Kochał ich za to, że potrafili wytrwać mimo zwątpienia i niewiedzy. Zobaczyli wyspę, kiedy już nie mieli wody. Wyłaniała się z bezkresu coraz większa i piękniejsza. Wyspiarze przyjęli ich gościnnie i z podziwem, choć z trudem porozumiewali się jednym językiem. Po kilkudniowym wypoczynku gdy minęła zła pogoda, zaopatrzeni w żywność przez wyspiarzy, znów podnieśli żagle. Z wdzięczności podarowali im swoje najpiękniejsze ozdoby z muszel, a Warli rozdał kilka mniejszych pereł. Teraz codziennie mijali wyspy wesołe, zielone, okolone białym piaskiem. Andrzej myślał, że znaleźli się w samym środku Archipelagu Tuamotu. Na jednej z wysp ujrzeli osiedle białych; szare tynkowane domy z czerwonymi dachami. Od kolonistów francuskich Andrzej dowiedział się, że tak było, jak myślał. Dostał od nich mapy. Teraz Warli został w tyle, a on prowadził wprost na zachód. Po trzech dniach dobili do dużej wyspy, nie była to jednak ta, o której myślał. Tu zasięgnął języka: był na najlepszej drodze. Po dwóch dniach pokazała się duża, górzysta wyspa: była to Tahiti. Po okrążeniu zobaczyli Papetee. Tuż obok portu wyciągnęli łodzie na piasek.

Zbiegł się tłum wyspiarzy, dziewcząt i białych. Ich rozbawiona wesołość łączyła się z ciekawością. Dziwili się tak niezwykłej wyprawie. Przybysze okazywali im pobłażliwą wyniosłość; i cieszył ich szacunek tłumu. Choć byli bardziej dzicy, choć nie nosili ubrań białych i nie naśladowali ich jak tubylcy, przecież wyglądali godniej i rozumniej przez swoje wielkie zamierzenie. Andrzej w towarzystwie Warli odwiedził w mieście kilka kompanii handlowych. Większe nie przyjęły jego propozycji, mając z Anglikami umówiony podział stref handlowych na wyspach. Podział ten był zastrzeżony w umowach. Jedna z mniejszych kompanii chętnie się zgodziła. Tu Warli sprzedał swoje perły. Nabyli najróżnorodniejszy sprzęt ciesielski, stolarski i do budowy łodzi. Zwoje lin i linek stalowych, różne płótna żaglowe, bloki, dużo wszelkiego takielunku i trochę podarków dla swych rodzin.

Andrzej wprowadził pewne inowacje do łodzi. Wielki, nowy, biały żagiel potrafił postawić przy pomocy najprostszego zastosowania bloków jeden człowiek; przedtem ciągnęli go w górę wszyscy. Ciężki, niepewny kamień zastąpił lekką kotwicą. Chodząc po ogromnym i niezwykłym dla nich mieście, dziwili się wszystkiemu. Ale miasto ich nie onieśmielało. Czy nie mieli odwagi przebyć tysiąca pięciuset mil w wątłych łodziach nie wiedząc nic o najprostszych przyrządach nawigacyjnych? Biali byli dla nich niepojęci, chociaż bardziej ludzcy i nie tak groźni w nadętej pysze jak Anglicy, którzy przypływali do ich wyspy. Tubylcy nie podobali im się przez swoją zupełną uległość białym i jakąś małpią, bezmyślną, ustawiczną wesołość. Tutejsze korowody tańców przypominały Andrzejowi kabarety. Dziewczęta nie miały w tańcu prostoty i szczerości, jak na jego wyspie. Naśladowanie tańców białych mówiło, że tubylcy wyglądali w oczach przybyłych jak śmiesznie podrygujące zwierzątka.

Z radością wszyscy opuszczali Tahiti. Śpieszno im było do wielkiej żeglugi, która czyniła z nich prawdziwych mężów. Teraz prowadził Andrzej, a Warli szedł za nim. Teraz było to łatwe według doskonałych map. Na wleczony lot krajowcy spoglądali z uśmiechem, mówili: „wielka wędka", i spoglądali z zaciekawieniem, czy się nie złapie jaka ryba. Bez nawigacji białych trafić z powrotem na odległą, maleńką, odosobnioną wysepkę było niepodobną. Andrzej starał się zapoznać z tą umiejętnością najbardziej rozgarniętego Warli. Nic z tego nie wyszło. Mapa dla niego była zwykłym zabrudzonym papierem, nie mógł w ogóle pojąć, że to przedstawia umownie wyspy i wody, przez które mają płynąć. Jego nawigacja była zupełnie pierwotna. Miał wielkie wyczucie odległości, szybkości, czasu, znajomość nieba, passatu, a także wody; wyspy czytał jak Andrzej mapy. Warli był zły, że nie może tego pojąć i zgodził się płynąć za nim. Siódmej nocy zgubili się, było bardzo ciemno. Zdawało im się, że normalnie z nastaniem dnia znów się połączą. Tak się nie stało. Zła pogoda i ciągle zmieniający się wiatr, przesłoniły Warli kierunek i musiał odbić gdzieś bardzo daleko. Według umowy Andrzej krążył w tym samym miejscu dwa dni, napróżno czekając na pojawienie się łodzi. Wokół nie było żadnych wysp. Płynęli samotnie przygnębieni nieszczęściem. Po drodze zawijali do różnych wysp, pytając się o łódź. Nikt jej nie widział. Po sześciu dniach na horyzoncie wyłoniła się ich wyspa. Andrzej choć do niej prowadził, nie był zupełnie pewny, czy to ta sama. Krajowcy nie mieli wątpliwości. Byli podnieceni, radośni — i płynęli z największą możliwą szybkością. Tak też było; po kilku godzinach Andrzej zobaczył znajomy, wysoki brzeg. Podpłynęli do wsi i wyciągnęli łódź na piasek.

Jan Papuga

(Dokończenie w następnym numerze)

WANDA BACEWICZÓWNA

Kłopoty szkolnictwa artystycznego

W związku ze Zjazdem i Festiwalem Szkół Artystycznych w Poznaniu zainteresowaliśmy się kwestią pomieszczenia stołecznych szkół artystycznych. Rozmach bowiem, z jakim szkolnictwo artystyczne rozbudowuje się u nas po wojnie dzięki opiece władz państwowych, wykazujących szczególne zrozumienie dla spraw sztuki, wysuwa problem lokalowy na ważne miejsce.

Konserwatorium Warszawskie (odrestaurowany pałac Sobańskich)

SZKOŁY MUZYCZNE

Konserwatorium Warszawskie, czyli Państwowa **Wyższa Szkoła Muzyczna**, posiadająca obecnie stu kilkudziesięciu uczniów, osiadła na stałe w przydzielonym jej ubiegłego roku Pałacu Sobańskich przy Al. Stalina 3 (uprzednio mieściła się w ogromnie ciasnym lokalu przy ul. Górnośląskiej). Pałac ten — odrestaurowany przez architekta prof. Bolesława Żurkowskiego — stanowi cenny zabytek, to też niemałą satysfakcję daje nam fakt, że mieści się w nim uczelnia mająca piękne tradycje. Wprawdzie pałacyk jest nieduży i niezupełnie przystosowany do potrzeb Konserwatorium, lecz atmosfera tego budynku sprzyja kształceniu talentów artystycznych.

Pałac Sobańskich pochodzi z drugiej połowy XIX wieku. Wybudował go w 1876 r. znany ówczesny architekt Leandro Marconi. Podczas wojny Niemcy zajęli i przerobili wewnątrz pałac na Lefergaus, a po powstaniu zburzyli go. Stopień zniszczenia budynku wynosił mniej więcej 65 procent. W lipcu 1947 r. rozpoczęto odbudowę według projektu prof. Żurkowskiego, zachowującego oczywiście zabytkowy charakter budynku. Na zewnątrz Pałac Sobańskich odrestaurowano ściśle podług dawnych wzorów, wewnątrz przeprowadzono pewne przeróbki, celem dostosowania budynku do potrzeb uczelni muzycznej. Przez dołączenie do pałacyku oranżerii uzyskano aulę stanowiącą salkę koncertową Konserwatorium. Suteryny pogłębiono na pomieszczenia użytkowe. Już 1 stycznia r. 1948 oddano część budynku do użytku Konserwatorium. Obecnie prawe skrzydło Pałacu jest kompletnie odbudowane. Odbudowa lewego przysporzyła dużo trudności, gdyż dach i stropy przegniły, lecz i to skrzydło jest już prawie na ukończeniu. Ogółem Konserwatorium posiada przeszło 40 pokoi. Na Boże Narodzenie wszystko ma być już całkowicie gotowe.

Ostatnio uporządkowano przy pałacu ogród, w którym stoi odkopany niedawno pomnik Dawida, będący kopią sławnej rzeźby Donatella. Stawiane jest też ogrodzenie od Al. Stalina, a wkrótce założone ma być również ogrodzenie od tyłu Konserwatorium, tj. od Al. Przyjaciół. Całkowity koszt odbudowy pałacyku wynosi koło 30 milionów zł. Pałac będzie prawdopodobnie siedzibą Wyższej Szkoły Muzycznej aż do czasu budowy nowego, wspaniałego Konserwatorium, projektowanego w Dzielnicy Chopinowskiej.

Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna licząca przeszło 500 uczniów mieści się przy ul. Profesorskiej 6 i cierpi na wielką ciasnotę, skutkiem której nie może przyjmować wszystkich zgłaszających się zdolnych uczniów. Ta szczupłość pomieszczenia zmusiła nawet obecnie Dyrekcję Konserwatorium do użyczenia Szkole Średniej kilku klas w pałacu Sobańskich dla orkiestry i chóru, które to zespoły są zresztą łączne z orkiestrą i chórem Wyższej Szkoły Muz. Oczywiście idealnym rozwiązaniem sprawy lokalowej byłoby umieszczenie Szkoły Średniej w jednym budynku, względnie w jakimś budynku sąsiadującym ze Szkołą Wyższą z uwagi na różne zazębienia.

Prawdziwą bolączką pedagogicznego świata muzycznego jest sytuacja w jakiej znalazła się **Państwowa Szkoła Umuzykalniająca (obecnie Państw. Szkoła Muzyczna)** otwarta dzięki wielkim staraniom muzyków w styczniu rb. w prowizorycznym 3-pokojowym lokalu pofabrycznym przy ul. Towarowej 48 i spełniająca niezmiernie ważne zadanie w ogólnej akcji upowszechniania muzyki. W sierpniu rb. Szkoła Umuzykalniająca została wyeksmitowana ze swego pomieszczenia, w związku z planem budowlanym, przewidującym zburzenie budynku. Tak więc Szkoła została bez lokalu i nie może wskutek tego rozpocząć nowego roku szkolnego. Dyrekcja Szkoły dotąd bezskutecznie zabiega o zdobycie jakiegoś pomieszczenia, a profesorowie, ratując sytuację — uczą w swoich prywatnych mieszkaniach. Z powodu wstrzymania normalnej pracy w Szkole cierpi z pewnością Średnia Szkoła Muzyczna, która będzie musiała przyjmować uczniów nieprzygotowanych. Jednym bowiem z celów Szkoły Umuzykalniającej, która **od września przekształcona została przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na Szkołę Muzyczną** o dwóch działach: dla dzieci i młodzieży — jest przygotowanie młodzieży, która pragnie poważnie poświęcić się muzyce, do Średniej Szkoły Muzycznej.

Tu trzeba zaznaczyć, że dotąd Państwowej Niższej Szkoły Muzycznej nie mieliśmy, to też powstanie jej ma dla nas szczególne znaczenie. W swoim czasie, gdy powstała Warszawska Szkoła Umuzykalniająca, pisano tu i ówdzie o niezmiernie ważnej roli, jaką spełnić ona może — podobne, jak i analogiczne szkoły w innych miastach — w dziele podnoszenia kultury muzycznej naszego kraju. Ci, którzy obserwują ruch muzyczny w Polsce i orientują się w dysproporcji, jaka zachodzi między wysiłkami mającymi na celu rozmiłowanie szerokich mas w dobrej muzyce, a wciąż jeszcze słabym oddźwiękiem, jaki budzi ta muzyka, wiedzą najlepiej, jak pięknym i istotnym osiągnięciem jest utworzenie w Polsce całej sieci szkół umuzykalniających. Nie trzeba bowiem zapominać, że do Szkoły Umuzykalniającej, przekształconej obecnie na Szkołę Muzyczną, przyjęty może być każdy bez względu na swój wiek i wykształcenie, o ile wykaże muzykalność, oraz że Szkoła przeznaczona jest głównie dla sfery robotniczej i chłopskiej. Ta słuszna opieka nad najbardziej dotąd upośledzonymi pod względem korzystania z dóbr kulturalnych wydaje się nieodzownym warunkiem podniesienia stopy muzykalności szerokich rzesz. Dlatego życzyć musimy Szkole Umuzykalniającej, do której zgłosiło się 150 uczniów, aby jak najprędzej zdobyła dla siebie jakiś lokal. W 6-letnim planie szkolnictwa artystycznego Państwowa Szkoła Umuzykalniająca w Warszawie z centralą w śródmieściu i czterema filiami na peryferiach obliczana jest na 3.000 słuchaczy.

Szkoła Muzyczna im. Fr. Chopina. — Średnia i Niższa, która ma obecnie ogółem koło 800 uczniów, utraciła swój lokal przy ul. Sienkiewicza jeszcze w r. 1939 i mieści się od wojny w prywatnym, 5-izbowym lokalu na Pradze — przy ul. Wileńskiej 15. Poza tym posiada filie na Szpitalnej 5 (lokal przedwojenny), Polnej 46, na Żoliborzu, w Legionowie i we Włochach. Wszystkie wymienione lokale są niewystarczające na potrzeby tak rozbudowanej uczelni. Są wprawdzie nadzieje, że Szkoła Chopina zostanie od Nowego Roku upaństwowiona, lecz w 6-letnim planie szkolnictwa artystycznego nie jest jeszcze uwzględniona, jeżeli chodzi o sprawy lokalowe.

Z braku miejsca nie będziemy tu omawiali lokali mniejszych szkół muzycznych, których jest w Warszawie jeszcze kilka. Dodamy tylko, że w ogólnym planie szkolnictwa artystycznego przewidziana jest budowa specjalnego, wielkiego gmachu dla państwowych szkół muzycznych — prawdopodobnie w Dzielnicy Chopinowskiej.

SZKOŁY TEATRALNE

Jeżeli chodzi o polepszenie sytuacji lokalowej szkół teatralnych, jest to sprawa już zupełnie skonkretyzowana. W najbliższym czasie ma być rozpoczęta, a ukończona w 1950 r. budowa gmachu wspólnego dla wszystkich szkół tego rodzaju **przy ul. Miodowej 22/24** (dawna Rycerska Szkoła Kościuszkowska). Gmach ten stanie na miejscu domu, który jest właśnie rozbierany. Decyzja budowy powstała na skutek tragicznej sytuacji, w jakiej szkoły teatralne się znajdują.

Państwowe Liceum Teatralne — mieszczące się na Ochocie przy ul. Tarczyńskiej 10 — od 15 września pozostało bez lokalu, to też choć ma zapisanych koło 120 uczniów, nie może prowadzić normalnej pracy. Dzieje lokalowe tej uczelni są bardzo znamienne. Powstała ona w 1945 r. w Grodzisku Mazow. Następnie przeniosła się do Świdra, a w 46 r. do Warszawy na Wolę, do 3-pokojowego mieszkanka przy ul. Hrubieszowskiej. Stamtąd wywędrowała na ul. Tarczyńską, gdzie posiadała także opłakane warunki lokalowe, które zmusiły ją do wydzierżawienia w pobliżu dwóch baraków. Obecnie dalsze wynajmowanie jednego z tych baraków okazało się niemożliwe ze względu na wygórowane warunki dzierżawy. Tak więc szkoła poprzestała na jednym 3-pokojowym baraku przeznaczonym na warsztaty, lecz wymagającym odpowiedniego przystosowania. W zamian wynajęła 4 pokoje w gmachu „Ogniska" (b. YMCA). Pomieszczenia tego jednak nie zdobyła na stałe i dlatego też szuka obecnie znowu lokalu.

Powstała w 1946 r. **Państwowa Wyższa Szkoła Aktorska** (Zelwerowicza) licząca koło 70 uczniów mieści się w lokalu niezmiernie ciasnym przy ul. Kopernika 36 (CRZZ), który w dodatku ma utracić w grudniu rb. Gdzie się podzieje — nie wiadomo.

Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna — dawny PIST z Łodzi — mieszcząca się przy ul. Jagiellońskiej 28 w lokalu Centr. Komisji Żydów w Polsce i kierowana przez Leona Schillera, ma wprawdzie bardzo ładny Teatr Szkolny, ale sam lokal na szkołę niewystarczający i nieprzygotowany do potrzeb uczelni tego rodzaju.

Jak z powyższego wynika, najszybsza budowa zamierzonego gmachu teatralnego przy ul. Miodowej jest sprawą niezmiernej wagi. Projekt budowy opracowali inż. W. Onitsch, M. Sulikowski i A. Uniejewski. Warto tu wspomnieć przy okazji, że brak lokalu nie pozwolił dotąd Ministerstwu Kultury i Sztuki otworzyć tak potrzebnej nam Państwowej Szkoły Baletowej, skutkiem czego nasi najlepsi baletnicy (Wójcikowski, Z. Dąbrowski i inni) nie mogą w odpowiednich warunkach przekazywać swojej wiedzy choreograficznej młodzieży baletowej. Wielka to dla nas strata, gdyż polski balet ma piękne tradycje.

SZKOŁY PLASTYCZNE

Za to dobre pomieszczenie przypadło w udziale **Akademii Sztuk Pięknych**, mianowicie — Pałac Raczyńskich na Krakowskim Przedmieściu 5. Jedno skrzydło Pałacu, odbudowywanego przez prof. Brukalskiego według planów Urzędu Konserwatorskiego, oddane już nawet zostało Akademii do użytku. Pozostała część Akademii mieści się przy ul. Myśliwieckiej 8, a także na Polnej 42. Jak widzimy, Akademia ma na razie 3 lokale w trzech różnych punktach miasta, co nie może oczywiście sprzyjać pracy. Przy ul. Myśliwieckiej znajduje się właściwie cały zespół szkół plastycznych, bo poza Akademią jeszcze **Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, Państwowe Ognisko Kultury Plastycznej i Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych,** — a wszystko to w dwóch budynkach, słusznie zwanych „ruderami". W jednym z nich niedawno zawalił się sufit, skutkiem czego nastąpiła duża przerwa w nauce. Ogromna ciasnota na Myśliwieckiej spowodowana jest m. in. tym, że część lokalu zamieszkują jeszcze tak zwani „dzicy" lokatorzy i profesorowie plastycy, nie mający się gdzie urządzić. Klasy wykorzystane są do tego stopnia, że dosłownie nie ma gdzie postawić krzesła dla wykładającego. Trzeba zaznaczyć, że liczba uczniów we wszystkich omawianych szkołach jest bardzo duża, mianowicie: w Akademii przeszło 200 uczniów, w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych około 200, w Liceum około 140 i w Ognisku także około 140. Przy tym Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych wymaga licznych pracowni (poligrafia, tkactwo, scenografia itd.). Nic też dziwnego, że w rb. na 200 zgłaszających się uczniów przyjęto do Wyższej Szkoły tylko 30.

Ponieważ nie każdy u nas wie o istnieniu tak przystępnych dla ogółu szkół malarskich, powiemy jeszcze kilka słów o Liceum i Ognisku. Liceum posiada 4-letni kurs dla tych, którzy ukończyli 7 klas szkoły podstawowej i 2-letni kurs dla tych, którzy mają już małą maturę. Oczywiście pewna ilość godzin przeznaczona jest na przedmioty ogólnokształcące. Ukończone Liceum daje prawo wstąpienia do Szkół Wyższych. Ognisko Kultury Plastycznej prowadzi kurs dziecięcy dla dzieci od lat 7, kurs dla młodzieży i 3-letni kurs dla dorosłych z nastawieniem na instruktaż plastyki. Szkoły omawianego typu wymagają oczywiście internatu czy bursy. Choć przy ul. Myśliwieckiej nie było absolutnie miejsca, z bohaterskim niemal wysiłkiem otwarto tam bursę dla 20 osób. Mimo ciasnoty na Myśliwieckiej, nie przewiduje się na razie specjalnych zmian lokalowych dla szkół plastycznych, oczywiście poza wyprowadzką Akademii do Pałacu Raczyńskich — chyba że w dalszej fazie. Na Myśliwieckiej ma być jednak przeprowadzony remont.

Wanda Bacewiczówna

ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

Felieton gospodarczy

PLAN TRZYLETNI — SPRAWA LUDZKA

Co jest najistotniejsze w systemie kapitalistycznym, to p o z o r n i e zupełne oderwanie zagadnień produkcji i rozdziału od systemów filozoficznych, religijnych i moralnych stwarzanych i rozpowszechnianych w krajach kapitalizmu. Z p o z o r u patrząc na te sprawy powierzchownie, można by sądzić, że między budową okrętów w stoczniach Bristolu, produkcją samochodów u Forda czy barwników I. G. Farben a filozofią Jeremiasza Benthama, ideologią Andrew Jacksona czy idealistyczną filozofią niemiecką nie ma żadnych związków przyczynowych i żadnych współzależności. Filozofowie czy moraliści świata kapitalistycznego a tym mniej książęta licznych kościołów nie dopuszczają nawet tej myśli, żeby systemy filozoficzne czy religijne, przez nich tworzone i rozpowszechniane, miały coś wspólnego z produkcją żyletek, obrabiarek czy konserw rybnych, z powszednim trudem człowieka.

Wysiłek robotnika fabrycznego czy oracza ziemi a wiara religijna, filozoficzna, czy moralna, którą ludzie wyznają, to — zdaniem idealistów — zagadnienia z dwu innych płaszczyzn odrębnych, nie mających ze sobą żadnej stycznej. Religia czy filozofia to coś jak czarny garnitur i żółte półbuciki dla małomiasteczkowych elegantów: rzecz od święta, na niedzielę.

Marksizm przywrócił pracy ludzkiej jej godność, uczłowieczył ją, dał naukowe uzasadnienie jedności moralnej codziennego ludzkiego trudu i ludzkiej wiary w sens wysiłków, zmagań i walk. Ludzie radzieccy od lat traktują pracę jak sprawę honoru, robotnicy polscy — coraz liczniejsi i w coraz większym stopniu — przyswajają sobie socjalistyczny stosunek do pracy.

Między „wierzeniami" ludu w warunkach budowy socjalizmu — wierzeniami rozumianymi jako racjonalnie ugrutowany i przyswojony system pojęć — a codziennym tego ludu wysiłkiem istnieje ścisła współzależność: im wyższa jest świadomość robotnika, tym skuteczniejszy jest jego wysiłek. Planowanie budownictwa gospodarczego w naszym kraju uwzględniać musi — i już może, są już tego wspaniałe i liczne dowody — ten prywatny, najbardziej osobisty współczynnik, który nasi robotnicy wnoszą do polskiej gospodarki. Wielokrotne przekraczanie norm produkcyjnych przez takich ludzi, jak bracia Bugdoł, Zieliński, Krajewski i tysiące innych, wywróciłoby na nice każdy plan gospodarczy, który by nie wkalkulował w cyfry, normy, bilanse i harmonogramy tych humanistycznych przeobrażeń, jakie w toku walki o socjalizm zachodzą w polskiej klasie robotniczej, u jej poszczególnych członków. Socjalistyczny stosunek do pracy daje robotnikom nie tylko korzyści doraźne, bezpośrednie, nie tylko przywraca honor ich codziennym wysiłkom, ale pozwala im również „poza drzewami dojrzeć las", otwiera przed nimi perspektywę dalszego wzrostu zamożności wszystkich i kultury wszystkich. Między „dorabianiem" się Bugdoła czy Apriasa, między ich walką o natychmiastowe podniesienie się ich stopy życiowej i poziomu kulturalnego a bytem milionów innych robotników i chłopów nie ma sprzeczności moralnej, nie ma poczucia krzywdzenia. Przeciwnie, ten uczłowieczony z powrotem wysiłek, ten h u m a n i z m wyrażający się u Apriasów, Zielińskich i Bugdołów w socjalistycznym stosunku do ich ciężkiej pracy, daje im równocześnie świadomość, że wyniki ich wysiłków pomnażają majątek narodowy, podnoszą stopę życiową c a ł e j klasy robotniczej. Bez tej świadomości wysokie osobiste zarobki przodowników pracy i racjonalizatorów nie miałyby humanistycznej treści, nie dawałyby również m o r a l n e g o zadowolenia. Marksizm i wypracowane w Związku Radzieckim praktyczne metody jego realizacji usunęły głęboką sprzeczność moralną, która w świecie kapitalistycznym istnieje między dorabianiem się jednostki a położeniem materialnym najszerszych mas narodu.

Że robotnicy to rozumieją, że coraz więcej ich to rozumie, że socjalistyczny stosunek do pracy staje się w polskiej klasie robotniczej zjawiskiem powszechnym, świadczy najlepiej walka robotniczych racjonalizatorów o upowszechnienie ich usprawnień i wynalazków.

Robotnik zgłaszający projekt racjonalizatorski otrzymuje po sprawdzeniu pomysłu i jego ocenie określoną premię pieniężną. Jej wysokość jest zależna od wartości usprawnienia. Gdyby robotnikami zgłaszającymi wynalazki, usprawnienia, czy projekty racjonalizatorskie kierowała wyłącznie chęć otrzymania premii — po jej otrzymaniu sprawa byłaby wyczerpana. Nie ma jednak dnia, żeby w prasie stołecznej i prowincjonalnej nie można było wyczytać, że robotnicy, którzy już premię otrzymali, biją się o rozpowszechnienie swego wynalazku, o zastosowanie go w innych analogicznych zakładach produkcyjnych, żeby nie walczyli o przełamanie oporów biurokratycznych, „własnościowych" nawyków administracji fabrycznej, która albo przez tę właśnie sobkowską prywatę albo wskutek niezrozumienia swych obowiązków nie stara się o upowszechnienie usprawnienia. Robotnik premię już dostał, ale wie, że przez zastosowanie jego wynalazku we wszystkich podobnych fabrykach gospodarstwo narodowe uzyskać może olbrzymie nowe wartości, że od upowszechnienia pomysłu racjonalizatorskiego zależy szybsze podniesienie stopy życiowej całej klasy robotniczej. I dlatego robotnicy walczą o to, dlatego zasypują redakcje listami, dlatego szukają drogi do najwyższych czynników partyjnych i rządowych, jeśli inaczej nie udaje im się przełamać biurokratycznych nawyków, urzędniczej rutyny czy złej woli wroga klasowego.

Namacalnie i konkretnie, walcząc o upowszechnienie tak „przyziemnej" rzeczy, jak nowy uchwyt spawalniczy, czy nowej metody produkcji cegły, prości ludzie, szeregowcy klasy robotniczej dają wspaniałe dowody swego głębokiego humanizmu, który w nich wyzwala socjalistyczny stosunek do pracy.

Gazety przynoszą teraz co dzień meldunki z terenu. Przynoszą je na pierwszych stronach. Meldują górnicy, meldują hutnicy, meldują robotnicy Państwowych Gospodarstw Rolnych. Trzyletni Narodowy Plan Odbudowy został przedterminowo wykonany.

W roku 1946 globalna produkcja przemysłu wielkiego i średniego wynosiła 6,2 miliarda złotych przedwojennych, w 1949 wyniesie ona tychże miliardów 14. W roku 1946 produkcja przemysłowa stanowiła 77% wartości produkcji z roku 1938, w roku bieżącym wyniesie ona 174% w stosunku do okresu przedwojennego. Wartość produkcji przemysłowej na głowę ludności wyniesie pod koniec roku 244% w stosunku do okresu przedwojennego — jest to więc wzrost 2 i półkrotny. W ciągu okresu trzyletniego wartość produkcji rolnej wzrosła w Polsce o 68% a liczba zatrudnionych — poza rolnictwem — wzrosła z 18,2% w roku 1938 do 35,9% w roku 1949. Porównanie tych dwu ostatnich cyfr daje miarę tempa uprzemysłowienia kraju.

Równocześnie w trakcie realizacji Planu nastąpiły głębokie zmiany w strukturze naszej gospodarki, wartość produkcji przemysłowej sektora uspołecznionego wynosi obecnie 96%, wartość obrotów uspołecznionego handlu hurtowego stanowi 98% całości obrotów a uspołecznionego handlu detalicznego, który w 1946 osiągał zaledwie 20%, dziś stanowi już 60% wszystkich obrotów detalu.

Te wielkie sukcesy gospodarcze i socjalne nie byłyby możliwe bez umacniającego się w klasie robotniczej socjalistycznego stosunku do pracy, bez wyzwolenia tych sił, na których dławienie kraje kapitalistyczne wydają miliardy dolarów.

Warszawski robotnik Jan Walaszczyk, który zainicjował wprowadzenie indywidualnych książeczek dla wpisywania wartości oszczędności osiągniętych dzięki pracy i pomysłowości danego robotnika, inżynier Bartoszewicz, którego pomysł tańszego i szybszego wyrobu cegieł przysporzy ludziom pracy wiele nowych mieszkań, szkół i szpitali, hutnicy Gogolin, Truchan i Kapica, inicjatorzy szybkościowego wytopu stali — śmiało stanąć mogą obok wielkich współczesnych humanistów.

Andrzej Kruczkowski

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

przyjmuje przedpłatę na

PEŁNE WYDANIE DZIEŁ HENRYKA SIENKIEWICZA

w 60 tomach

teksty pod redakcją

Prof. JULIANA KRZYŻANOWSKIEGO

oparte na pierwodrukach i rękopisach. Wydanie obejmuje zarówno znane utwory pisarza jak też zapomniane i nie objęte dotychczasowymi wydaniami oraz wybór korespondencji

WARUNKI PRZEDPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

* Pełne Wydanie Dzieł obejmuje 60 tomów. Cena jego wynosi zł. 30.000, płatnych w 6 ratach po 5.000 złotych każda.

* Zgłaszając przedpłatę nabywca wpłaca pierwszą ratę zł. 5.000, oraz zwrotną zaliczkę w kwocie 3.000 tytułem zabezpieczenia dalszych wpłat za komplet Dzieł. Zaliczka ta podlega zwrotowi na rzecz nabywcy przy wpłacie ostatniej raty.

* Nabywca wpłacający całkowitą należność za 60 tomów otrzymuje zniżkę w wysokości zł. 5.000, tj. płaci za pełne Wydanie Dzieł Sienkiewicza zł. 25.000.

* Po wpłaceniu pierwszej raty i zaliczki otrzyma nabywca od razu 10 tomów Wydania obejmujących następujące dzieła: „Krzyżacy" (4 tomy), „Nowele ludowe", „Nowele amerykańskie", „Nowele współczesne", „Nowele z natury i z życia", „Nowele, obrazki i przypowieści" i „Listy z Afryki";

po wpłaceniu drugiej raty otrzyma dalsze 10 tomów, na które składają się: „Bez dogmatu", „Quo vadis", „Rodzina Połanieckich" i „Nowele młodzieńcze"

po wpłaceniu trzeciej raty otrzyma w pierwszej połowie 1950 r. „Ogniem i mieczem" i „Potop".

Pozostałe 30 tomów Wydania dostarczane będą prenumeratorom sukcesywnie do końca 1951 roku, po wpłaceniu przez nich pozostałych trzech rat półrocznych.

* Dzieła Sienkiewicza ukażą się w ozdobnej szacie graficznej, na papierze dziełowym i będą wysyłane nabywcy na koszt Wydawnictwa.

* Poszczególne tomy pełnego WYDANIA nie będą sprzedawane oddzielnie.

ZGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ

* Państwowy Instytut Wydawniczy, Państwowa Składnica Księgarska, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej 17 (konto PKO Nr. I-8116) oraz Oddziały i Księgarnie Państwowej Składnicy Księgarskiej:

* Warszawa, Wydz. Prenumeraty PSK, ul. Krucza 47a, parter. Tel. 8-23-56.

Księgarnia P. S. K., ul. Krakowskie Przedmieście 7.

* Łódź, Oddział P. S. K., ul. Sienkiewicza 18. Konto PKO VII-5585.

* Poznań, Oddział P. S. K., ul. Marcinkowskiego 21. Konto PKO V-5675.

* Kraków, Oddział P. S. K., ul. Sławkowska 10. Konto PKO IV-6229.

* Katowice, Oddział P. S. K., ul. Słowackiego 24. Konto PKO III-1510.

* Wrocław, Oddział P. S. K., Rynek 8. Konto PKO VIII-2222.

* Jelenia Góra, Księgarnia P. S. K., ul. Konopnickiej 11.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

BIBLIOTECZKA ŚWIETLICOWA
CRZZ Nr 44

PAŹDZIERNIK 1917
MONTAŻ
HISTORYCZNO-LITERACKI

Pod redakcją
Marii Czanerle

str. 315
Cena 250.—

Książka i Wiedza

ZAWIADOMIENIE

Zawiadamiamy czytelników, że „Kuźnica" ukazuje się obecnie w piątki, datowana na najbliższą niedzielę.

Redakcja

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Z SAL KONCERTOWYCH

BOCCHERINI, KURPIŃSKI, CZAJKOWSKI

Po okresie ogromnego nasilenia imprez muzycznych w związku z Konkursem i uroczystościami Roku Chopinowskiego, a przed rozpoczęciem „Dni Smetany", które przyniosą cykl koncertów ku uczczeniu 125 rocznicy urodzin twórcy narodowej muzyki czeskiej — w ruchu muzycznym Warszawy nastąpiło pewne, przejściowe zresztą osłabienie. Wyjechali już ze stolicy zagraniczni goście, uczestnicy konkursu, wybitni artyści zasiadający w Międzynarodowym Jury. Życie koncertowe sprowadziło się prawie wyłącznie do symfonicznych „piątków" Państwowej Filharmonii, pozbawionych przy tym ostatnio jakichś wybitniejszych „sensacji" muzycznych.

Taki program „bez rewelacji" zawierał XIII koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii (18 listopada). Program ten dawał za to pożyteczny przegląd od rokokowej twórczości Boccheriniego, poprzez początki polskiego romantyzmu (Kurpiński), aż po symfonię Czajkowskiego. Przegląd tym bardziej pouczający, że twórczość zarówno Boccheriniego, jak i Kurpińskiego jest na ogół bardzo mało znana.

Luigi Boccherini (1743—1805), świetny wiolonczelista - wirtuoz, modny za życia kompozytor, popularny w Niemczech, Francji, a zwłaszcza w Hiszpanii, gdzie mieszkał kilkadziesiąt lat — zbyt prędko po śmierci poszedł w zapomnienie. Większość z jego kilkuset dzieł o cechach typowych dla stylu „galant" wyda się zapewne dzisiejszemu słuchaczowi zbyt błaha, szablonowa, pozbawiona ciężaru gatunkowego. W powierzchownej lekkości tego stylu nie można jednak nie dostrzec wdzięku i czaru epoki, której twórczość Boccheriniego jest wiernym odbiciem. Haydn, Mozart — wyrośli również na gruncie tej samej epoki. Ich artystyczne indywidualności wykroczyły jednak poza ramy rokokowego stylu, pogłębiły go i uszlachetniły, nadały piętno klasycznej doskonałości, wartość ponaddziejową i ponadczasową. Zapewne tym się tłumaczy fakt, że wyprzedzający epokę geniusz Mozarta popadał w częsty konflikt ze swą współczesnością, podczas gdy żyjący z nią w zgodzie Boccherini cieszył się tak wielkim powodzeniem.

Jakkolwiek by było, niektóre dzieła Boccheriniego nie straciły do dziś świeżości i aktualności. Należy do nich bezsprzecznie wykonany w Filharmonii koncert na wiolonczelę z towarzyszeniem orkiestry. Pod względem nasilenia inwencji i talentu nie wytrzymuje z pewnością porównania z koncertem wiolonczelowym Haydna, natomiast, z punktu widzenia rzemiosła muzycznego, a zwłaszcza umiejętności wirtuozowskiego wykorzystania wiolonczeli — utwór napisany jest doskonale. Część środkowa (Adagio non troppo) odznacza się rzadką u Boccheriniego powagą i skupieniem. Milknie na pewien czas elegancki, kokieteryjny język rokoko — do głosu dochodzą dobre tradycje włoskich mistrzów z końca siedemnastego wieku.

Wykonawcą koncertu Boccheriniego był **Kazimierz Wiłkomirski**, najlepszy dziś bez wątpienia wiolonczelista polski, o precyzyjnej technice, ogromnej muzykalności i kulturze.

Karola Kurpińskiego (1785—1857) formalnie biorąc zaliczyć musimy już do przedstawicieli wczesnego romantyzmu. Wyraża się to chyba tylko w większym, niż u poprzedników zainteresowaniu ludowością w muzyce, a ponadto tym, że w swych licznych operach sięga często po teksty z historii Polski. W ten sposób, wraz z operami o tematach historycznych Józefa Elsnera, przyczynia się do stworzenia podwalin pod przyszłą operę narodową Moniuszki. Ważniejsze jest jednak to, że obaj ci kompozytorzy, Kurpiński i Elsner, swą pracą pedagogiczną, artystyczną i organizacyjną rozbudzali życie muzyczne, tworzyli atmosferę kulturalną, dzięki której geniusz Chopina nie został zmarnowany, przeciwnie, mógł się rozwijać w sposób prawidłowy, natrafiwszy na odpowiednie podłoże i gorącą opiekę.

Melodyka ludowa jest u Kurpińskiego potraktowana w sposób konwencjonalny, zgodnie z ówczesną modą. Daleka jest jeszcze droga do autentycznej, tętniącej życiem ludowości Chopina. Także zasób środków kompozytorskich Kurpińskiego pozostaje daleko w tyle za bogactwem harmoniki romantycznej. Styl jego nosi sporo cech eklektycznych, cechy silnych wpływów Beethovena, Webera, Bossiniego. Pomimo to, niektóre utwory Kurpińskiego — między innymi uwerturę do opery „Dwie Chatki", wykonaną na ostatnim koncercie piątkowym — słyszymy ostatnio coraz częściej dla ich walorów muzycznych, a przede wszystkim świeżości i szczerej, bezpośredniej inwencji.

Czwartą symfonię, f-moll, **Piotra Czajkowskiego**, którą usłyszeliśmy w drugiej części koncertu, uważano dawniej za znacznie słabszą od piątej, e-moll, a zwłaszcza szóstej — „Patetycznej". Dziś poglądy te uległy rewizji i czwartą symfonię zestawia się z szóstą i to nie zawsze na korzyść tej ostatniej. Zapewne — można zarzucić, że część pierwsza jest nadmiernie rozbudowana, ale trzeba przyznać, że dramatyczne fanfary wstępu (brzmiały one na omawianym koncercie niestety, dość fałszywie) i pełen rozpędu temat pierwszy wnoszą od samego początku atmosferę monumentalności. Pewne dłużyzny dają się zauważyć w temacie drugim, a później w finale opartym na rosyjskiej pieśni ludowej. Natomiast część środkowa: Andantino i Scherzo — należą do najlepszych fragmentów muzyki Czajkowskiego. Można lubić lub nie, typowy dla Czajkowskiego rozlewny, nasiąknięty melancholią liryzm — trzeba jednak stwierdzić, że nie często spotyka się temat tak długi, a jednocześnie tak śpiewny i płynnie rozwinięty, jak główny temat części drugiej. Część trzecia — oryginalne Scherzo — żywością i dowcipem przypomina suitę z „Dziadka do orzechów", jeden z tych utworów, w których Czajkowski ukazuje się z najlepszej strony.

Przy okazji wartoby zrewidować jeszcze jeden uświęcony pogląd: pierwsze trzy symfonie Czajkowskiego — nigdy u nas nie grywane — uważane są za bardzo słabe, prawdopodobnie dlatego... że prawie nikt ich nie zna. W rzeczywistości, zawierają one dużo prawdziwej, szczerej muzyki w najlepszym gatunku i warto upomnieć się o ich wykonanie. Nie tylko w Związku Radzieckim, ale także w Anglii na przykład są one prawie tak samo popularne — zwłaszcza trzecia symfonia — jak pozostałe: czwarta, piąta i szósta.

Orkiestrą Filharmonii Państwowej dyrygował **Mieczysław Mierzejewski**, demonstrując, jak zwykle, spokojną i precyzyjną technikę kapelmistrzowską, opartą o trafne zrozumienie konstrukcji wykonywanych utworów.

Wawrzyniec Żuławski

Noty

Zbrodnia profesora Bernala

Znakomity fizyk angielski, profesor Uniwersytetu Londyńskiego Bernal został usunięty z Rady „Związku Uczonych Brytyjskich" za przemówienie wygłoszone na Kongresie Pokoju w Moskwie. Jakąż zbrodnię popełnił prof. Bernal? Okazuje się, że jego przestępstwo polegało na wygłoszeniu... kilku słów prawdy. Prof. Bernal złożył następujące oświadczenie, które opublikowała postępowa prasa londyńska:

„Powiedziałem wówczas (na Kongresie w Moskwie), że nauka w Ameryce i Wielkiej Brytanii jest zorientowana zarówno w sensie politycznym, jak i finansowym na wojnę. Moje uwagi dotyczyły tych, którzy opłacają pracę brytyjskich uczonych, a nie dotyczyły samych naukowców. Miast dążyć do poprawy warunków życiowych ludu angielskiego, nauka współczesna, ulegając politykom, zmierza do konstruowania nowej, przeciw Rosji skierowanej broni.

Naród rosyjski był jeszcze przed kilkoma laty naszym sprzymierzeńcem. Ofiary, jakie poniósł w wojnie, były o wiele większe od naszych. Bez tych ofiar narodu rosyjskiego wszyscy szanujący się uczeni brytyjscy dostaliby się do obozu koncentracyjnego albo straciliby życie".

Tych słów nie można było wybaczyć prof. Bernalowi! **rk**

Atomowy leksykon

Według komunikatu Reutera przystąpiono w Stanach Zjednoczonych do opracowania osobliwego leksykonu. Autorami dzieła, które ma wkrótce ujrzeć światło dzienne, są urzędnicy amerykańskiego lotnictwa wojennego, opracowujący słownik przedsiębiorstw przemysłowych i fabryk znajdujących się we wszystkich krajach kuli ziemskiej. Źródłem natchnienia twórców leksykonu są statystyki, sprawozdania gospodarcze, publikacje fachowe i wiadomości prasowe z całego świata. Leksykon nie będzie oczywiście uwzględniał fabryk parasoli i wytwórni szelek, lecz obiekty ciężkiego przemysłu, zakłady zbrojeniowe, zapory wodne itp. Jak z komunikatu wynika, celem leksykonu jest zestawienie spisu miejscowości, miast, urządzeń technicznych i zakładów przemysłowych, które w przyszłej wojnie mają służyć za cel *ataków amerykańskiego lotnictwa*. Magna Enciclopaedia Americana będzie więc po prostu leksykonem ataków atomowych. Tego jeszcze nie było. **kd**

Metafory „Głosu Anglii"

„Głos Anglii" z dnia 12 listopada br. ogłasza artykuł redakcyjny, poświęcony sprawom finansowym i gospodarczym Wielkiej Brytanii, wiążąc te zagadnienia z dewaluacją waluty angielskiej. Pobieżny przegląd prasy brytyjskiej wystarcza, aby zdać sobie sprawę z zaostrzenia się kryzysu ekonomicznego w Anglii oraz katastrofalnych skutków „pomocy", jakiej Ameryka udziela Wielkiej Brytanii. Najdotkliwiej odczuwa to przeciętny konsument angielski, który coraz bardziej zaciska pasa. „Głos Anglii" natomiast ubiera ponurą sytuację w bardzo dziwne metafory marynistyczne, traktując rzecz wielce sielankowo. Wygląda to tak:

„Wielka Brytania — czytamy we wspomnianym artykule — zwinęła swoje finansowe żagle w ciągu ostatnich kilku tygodni i zmieniła lekko kurs w kierunku wiatru. Podobnie jak wiele manewrów przy sterowaniu statkiem, było to sprowadzone zmianą panującej pogody na horyzoncie finansowym. Nie pociągnęło to za sobą zmiany ostatecznego celu ani też zaostrzenia jakichś gwałtownych środków".

„Głos Anglii" stara się wmówić czytelnikom, że w Anglii nastąpiła „lekka (?) zmiana kursu" i nie mniej lekka „zmiana pogody"! W dalszym ciągu pismo wywodzi, że nie jest tak źle, jakby się na pozór zdawać mogło, ba — że jest nawet dobrze.

Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? **rkm**

O'Snide szuka żołdaków

„New York Daily News" — gazeta drukowana w kilku milionach nakładu, ogłosiła niedawno artykuł wstępny pt. „Wynajmujcie najlepszych Hesów", napisany w formie dialogu między fikcyjnym Shamusem O'Snidem i reporterem dziennika.

Artykuł wspomina o roli, jaką Hesi odegrali w rewolucji amerykańskiej (1776—81) jako angielscy żołdacy walczący przeciw Amerykanom. Anglicy po prostu kupili u wielkich właścicieli ziemskich w Hesji ich „landsknechtów", aby posłużyć się nimi w walce z rewolucyjną amerykańską. To co Anglicy potrafili, wywodzi autor, możemy i my zrobić. Od tego są Niemcy, aby dostarczyły nam żołdaków przeciw Związkowi Radzieckiemu.

„Przecież i nasi ludzie — twierdzi wyimaginowany O'Snide — mogą wystarać się o pewną ilość Hesów, wynająć i opłacić oddziały żołdaków, które by walczyły za nas w Europie, jeśli popadniemy w tej części świata w konflikt ze Stalinem".

— A kim będą ci żołdacy? — zapytuje reporter.

— Rzecz jasna — odpowiada mister O'Snide — że potomkami Hesów, którzy sprawili nam tyle trudności w latach 1776—1781. Mam na myśli N i e m c ó w z N i e m i e c Z a c h o d n i c h".

Powyższe słowa zostały wydrukowane w „New York Daily News" z dnia 15 sierpnia roku 1949. Mister O'Snide jest naiwny, ale przynajmniej szczery. **rk**

KSIĄŻKI NADESŁANE

Józef Stalin — Międzynarodowy charakter rewolucji październikowej. Wyd. „Książka i Wiedza", W-wa 1949 r., str. 15.

Instytut Badań Literackich: Kultura okresu pozytywizmu. Wybór tekstów i komentarzy pod redakcją Jana Kotta; część I Mieszczaństwo opracowała Maria Janion. Wyd. „Książka i Wiedza", W-wa 1949 r., str. 334.

Etiuda Rewolucyjna. Wyd. Stowarzyszenie Instytutu Fryderyka Chopina, W-wa 1949 r., str. 26.

J. I. Kraszewski — Banita. Wydawnictwo Ludowe W-wa 1949 r., str. 490.

Jakub Bojko — Dwie dusze. Wydawnictwo Ludowe, W-wa 1949 r., str. 102.

Jan Dobrowolski — Co to jest światło. Wydawnictwo Ludowe, W-wa 1949 r., str. 67.

Elmar Grin — Wiatr z Południa, przełożyła Halina Kowalska. Wydawnictwo Ludowe, W-wa 1949 r., str. 191.

Artur Hedley — Chopin, przełożyła A. Opęchowska, słowo wstępne i opracowanie B. E. Sydowa. Wyd. St. Jamiołkowski i T. J. Ewert, Łódź 1949 r., str. 257.

Leopold Staff — Wybór poezji, wstęp Mieczysława Jastruna. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 125.

Zbigniew Stolarek — Więcej niż dom. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 44.

Roman Bratny — Słowo miliarda. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 70.

Adolf Dygasiński — Przygody młodzieńca czyli Robinson Polski. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r. str. 200.

Janina Broniewska — Filip i jego załoga na kółkach. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 29.

Ewa Rem — Jedziemy na wakacje. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 24.

Józef Kowalski — Rewolucyjna demokracja rosyjska a powstanie styczniowe. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 291.

Zygmunt Młynarski — Z dziejów demokracji polskiej. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 137.

Jerzy Plechanow — Przyczynek do zagadnienia rozwoju monistycznego pojmowania dziejów, przełożyła Romana Granas. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 275.

E. Asratian — Pawłow, a materializm dialektyczny. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 30.

K. Bykow — Życie i twórczość Pawłowa. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 31.

L. Leontiew — Ekonomia polityczna socjalizmu w dziełach Lenina i Stalina, przełożyła Maria Kowalewska. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 54.

Anatol France — Pierścień z ametystem, przełożył Jan Sten. Wyd. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949 r., str. 185.

Gabriela Pauszer-Klonowska — Dzień dzisiejszy — Wypisy dla kl. V szkoły podstawowej. Wyd. „Nasza Księgarnia", Warszawa 1949 r., str. 244.

Kazimierz Brandys — Samson — Antygona — wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 390.

Stefan Żeromski — Wiatr od morza i inne utwory, Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 378.

Wacław Rzezacz — Zielona książka — przełożyła z czeskiego Zofia Kowalewska, Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 139.

Józef Kjellgren — Ludzie przy moście — przełożyła z szwedzkiego Dr. Apolonia Załuska, Wyd. „Czytelnik", Warszawa 1949 r. str. 257.

Marta Arnaud — Dary białych ludzi — przełożyła z francuskiego Maria Stulgińska, Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 183.

Mulk Raj Anand — Wielkie serce — przełożyła z angielskiego Ewa Fiszer. Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 266.

Jurij Tynianow — Podporucznik Kiże — przełożyli z rosyjskiego Ziemowit Fedecki i Tadeusz Mongird, Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 82.

Księża mówią... Fragmenty przemówień, listów i oświadczeń kapłanów polskich, Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1949 r. str. 63.

Witold Wirpsza — Stocznia, Wyd. „Czytelnik", Warszawa 1949 r. str. 47.

Światowit — Rocznik Muzeum Archeologicznego im. Er. Majewskiego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 386.

Zygmunt Batowski — Aleksander Kucharski, z 9 tablicami poza tekstem, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 41.

Marta Filipowiczówna — Nowa odmiana zespołu Jacod'a, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 32.

Helena Kistelska — Współruchy, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie Warszawa 1948 r. str. 56.

W. H. Melanowski — Rys. dziejów okulistyki w Polsce, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 98.

Edmund Mikulaszek — Podstawy imunochemii, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 252.

Leonard Sosnowski — Badania nad zjawiskami fotoelektrycznymi w półprzewodnikach. Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1949 r. str. 82.

Klemens Gerner — Zmiany zawartości białka w surowicy krwi chorych na płonicę, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 120.

Witold Taszycki — Dawność tzw. mazurzenia w języku polskim Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 str. 33.

Jan Glinka — Instrukcja wydawnicza dla nowożytnych źródeł dziejowych Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1949 str. 38.

Jakub Sawicki — Concilia Poloniae — źródła i studia krytyczne, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1949 r. str. 114.

Maria Maykowska — Quaestiones platonicae selectae, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1949 r. str. 24.

Sprawozdania z posiedzeń wydziału III nauk matematyczno-fizycznych, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 122.

The journal of juristic papyrology edited by Raphael Taubenschlag and George Manteuffel, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 119.

Jan Czekanowski — Antropologia polska w międzywojennym dwudziestoleciu 1919 — 1939, Wyd. Tow. Naukowe Warszawskie, Warszawa 1948 r. str. 221.

STANISŁAW BRUCZ

Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

O „ROZBITKACH" BLIZIŃSKIEGO

„Rozbitki" Blizińskiego proszą się o porównanie z granym niedawno na scenie łódzkiego „Melodramu" — „Zięciem pana Poirier". I tu i tam mamy do czynienia ze zjawiskiem zrastania się arystokracji z burżuazją. I tu i tam kapitał handlowy wchłania podupadłe majątki szlacheckie. I tu i tam proces ten odbywa się w drodze ożenku. I tu i tam występuje młody hrabicz, pragnący stanąć za ladą sklepową swojego teścia. I tu i tam transakcję matrymonialną usiłuje autor podbudować i usprawiedliwić mistyką miłości, i to miłości dwojakiej: małżeńskiej i społecznej. Obie sztuki zamyka apoteoza solidaryzmu, akord „kochajmy się" towarzyszy nie tyle zaślubinom jednostek, co klas.

Ale tu się porównanie kończy i zaczyna odmienność, jeśli nie wyższość sztuki Blizińskiego. Odmienność, która wypływa przede wszystkim z różności burżuazyj — francuskiej i polskiej. Właściwie, trudno jest w odniesieniu do „Rozbitków" mówić o burżuazji w tym znaczeniu, jakie ukazuje nam „Zięć pana Poirier". Nie widzimy tu bowiem prawdziwego „stanu trzeciego", to znaczy wielkiej burżuazji na miarę zachodnio-europejskiego kapitalizmu, jedynie średnie i drobne mieszczaństwo. Kim jest kupiec bławatny Poirier? Wielkim bourgeois, świadomym swojej siły i zdradzającym dojrzałą samowiedzę klasową. Kim jest sklepikarz Dzieńdzierzyński? Drobnomieszczańską kreaturą, wypierającą się swego pochodzenia społecznego, już skorumpowaną snobizmem najlichszego gatunku, już wciągniętą bez reszty w orbitę szambelaniców Czarnoskalskich. Myliłby się ten, kto by sądził, że w „Rozbitkach" Czarnoskalscy i Dzieńdzierzyńscy reprezentują dwa przeciwstawne obozy, podobnie jak w sztuce francuskiej pan Poirier i jego arystokratyczny zięć. Nie, konfiguracja jest tu inna: z jednej strony widzimy Czarnoskalskich i Dzieńdzierzyńskich już złączonych w jeden co prawda mieszany ale zwarty obóz społeczny, z drugiej — Jana Strasza, postać szczególną, która uosabia nową siłę socjalną, a której obecność w sztuce Blizińskiego stanowi o jej wyższości w stosunku do „Zięcia pana Poirier".

Kim jest Jan Strasz? Synem szwaczki, byłym kancelistą notarialnym, który pewnego ranka obudził się bogatym człowiekiem dzięki spadkowi po nagle zmarłym majętnym wuju. Jest to zdeklasowany pospolitak bez przydziału społecznego, oscylujący między klasami plebejusz i bogacz z przypadku, którego majątek pcha ku Czarnoskalskim, a którego instynkt społeczny ciągnie w stronę przeciwną. Jeżeli ubiega się o rękę panny Czarnoskalskiej, to nie przez snobistyczną próżność, lecz dlatego, że dobija się o jakąś przynależność społeczną, jednakże rychło zdaje sobie sprawę, że nie tędy droga, że Czarnoskalscy to zamierająca tkanka społeczna. Strasz gardzi obozem Czarnoskalskich i Dzieńdzierzyńskich i pogardzie tej daje dosadny wyraz. Strasz, po zerwaniu zaręczyn z córką szambelanica, przyjmuje z razu wyzwanie jej brata i kuzyna, a jeżeli wycofuje się z pojedynku, to nie dlatego, że się boi, lecz dlatego, że kpi sobie z kodeksu honorowego Czarnoskalskich. Strasz zna wartość pieniędzy i nie roztrwoni ich, jak Czarnoskalscy, ani nie odda ich, jak Dzieńdzierzyński, na pożarcie zrujnowanym arystokratom. Pod koniec sztuki dowiadujemy się, że Strasz wybiera się do Paryża, ale nie bardzo w ten Paryż wierzymy. W osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku, w klimacie „pracy organicznej", ludzie typu Strasza budowali przemysł, tworzyli źródła produkcji, a więc w gospodarczo zapóźnionej Polsce spełniali w pewnej mierze rolę postępową. Strasz jest w sztuce Blizińskiego znakiem zapytania, kryjącym w sobie zaczątki przyszłości.

A zatem nie jest to postać komiczna i nie należy jej pod żadnym pozorem stawiać na jednej desce z Dzieńdzierzyńskimi. Niestety, reżyser „Rozbitków" w Państwowym Teatrze Powszechnym poszedł inną drogą, drogą najmniejszego oporu i najłatwiejszych konwencji: nie odczytał sztuki na nowo i nie dojrzał jej właściwych linii podziału. W osobie Strasza dostrzegł jedynie wzbogaconego łyka i wesołka, rolę powierzył Dymszy i zaprzepaścił sens społeczny sztuki. Strasz znalazł się w jednym szeregu z Dzieńdzierzyńskim jako gorsza jego mutacja, co jest do gruntu sprzeczne z charakterem tej postaci i jej opozycją w stosunku do Czarnoskalskich i ich drobnomieszczańskich sprzymierzeńców. Ten zasadniczy błąd uczynił z komedii o rezonansie dramatycznym — płytki wodewil o dość tępym brzmieniu.

Bliższy prawdopodobieństwa jest Władysław Walter w roli Dzieńdzierzyńskiego, ale i ta figura jest niedorysowana, zamazana, pozbawiona groteskowej ostrości. Lepiej się przedstawia klan Czarnoskalskich, bo też czołowe jego okazy są bardziej konwencjonalne, bardziej uchwytne dla starych nawyków aktorskich, choć i tu postaci młodych wypadły blado i schematycznie. Najtrafniej ujął swą rolę Włodzisław Ziembiński, którego Kotwicz-Dahlberg przekonywa dyskretną precyzją rysunku.

„Rozbitki" liczą już prawie siedemdziesiąt lat. Nikt, jak sądzę, nie wymagał od Jerzego Zaruby, aby dokładnie odtworzył atrybuty i stroje epoki, można się jednak było spodziewać po nim transpozycji jednorodnej w stylu i tonacji. Tymczasem kostiumy jego są wystylizowane dość nieśmiało w duchu Kostrzewskiego, a dekoracje wydają się zapożyczone z rekwizytorni teatru „Rozmaitości" czasu pierwszej wojny światowej.

Stanisław Brucz

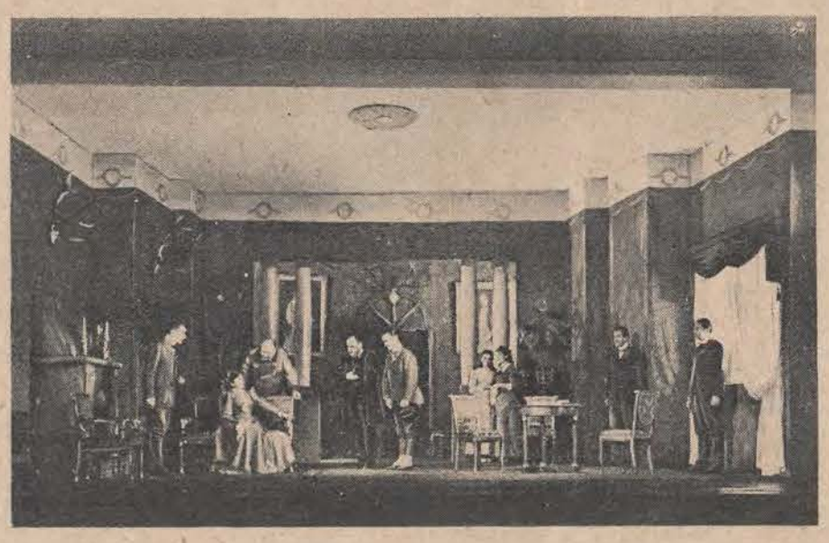

„Rozbitki" Blizińskiego w Państwowym Teatrze Powszechnym w Łodzi

TREŚĆ Nr 47

Paweł Hoffman — Niektórzy i ktoś jeden; **Leopold Lewin** — Strofy Dymitrowgradzkie; **Theum de Vries** — Mój Chiński Brat , przełożył Lech Andrzej Pijanowski; **Kazimierz Jaworski** — Socjalistyczne drogi budownictwa; **Toeplitz Krzysztof Teodor** — O błędach typowych; **Starzyński Juliusz** — Walka idei w plastyce; **Ignacy Witz** — Gdzie leży konflikt zasadniczy; **Kandyd** — Niektóre wróżby się sprawdzają...; **Stanisław Telega** — O pewnym awansie literackim; **Egon Naganowski** — Fryderyk Wolf; **Janina Preger** — Poezja Przybosia; **Stanisław Powołocki** — Z dziejów dramaturgii Radzieckiej; **Adolf Sowiński** — Historia i „utopia"; **Wawrzyniec Żuławski** — Muzyka meksykańska; Korespondencja; Noty.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. tel. 4-01-80. w 95 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960 — Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-93954